GAZETA LITERACKA

DODATEK MIESIĘCZNY GAZETY NIEDZIELNEJ

NR 4 LONDYN, 3 GRUDNIA 1950 ROK I

MARIA WINOWSKA

ASSUMPTA EST...

OD tygodnia pada deszcz. „Co będzie — pytają ludzie małej wiary, — jeżeli dzień Wszystkich Świętych będzie słotny?“ Na to ci, co lepiej znają obyczaje Najświętszej Panienki, zapewniają: „Pogoda murowana! Czyż Wniebowzięta nie jest również Królową Wichrów i Burz?“

Istotnie w samą wigilię dobre wiatry niby psy gończe wypłoszyły z nieba brudne łachy chmur, wymiotły do czysta upartą szarugę. Ci, co zaufali Pani Niebios, triumfują: „Nie mówiliśmy?“

Ale też nie dziwmy się Monsignorom obarczonym organizacją uroczystości, że zaczęli zlekka tracić głowę na widok szarych, upartych, deszczowych strug. Ze względu na niebywały napływ pątników Ojciec Święty postanowił ogłosić ex cathedra nowy dogmat przed portalem Bazyliki, na placu św. Piotra. Niepogoda wystawiłaby na szwank cały plan, bo że zmokną lekko pątnicy, to im nie nowina, ale gorzej z fioletami sześciuset pięćdziesięciu biskupów, z karmazynem trzydziestu pięciu kardynałów, nie mówiąc już o innych drogich a barwnych tkaninach, którymi Kościół stroi zalotnie w dnie uroczyste swoich dostojników. Ładnie by wyglądał tak wspaniały orszak pod... parasolami? Już i tak zresztą Monsignor Dante (mistrz ceremonii) wojuje od miesięcy z kwadraturą koła. W bazylice mieści się ‚zaledwie‘ (sic!) pięćdziesiąt tysięcy, próśb błagalnych a uzasadnionych o wstęp do tejże jest ponad sto tysięcy, co począć? Z włoską chytrością biedny Monsignor próbuje oblać entuzjastów zimną wodą i ogłasza raz po raz, na tydzień przed uroczystością, „że ci, co będą wewnątrz, nie będą mogli wyjść, a ci, co będą zzewnątrz nie będą mogli wejść“. Wybieraj tu bratku! Boć i tu serce ciągnie i tam dusza wybiega.

Grunt wszelako, że pogoda. We wtorek o czwartej całutki Rzym wylega na Piazza Venezia i Via del Mare, przed kościół Ara Coeli na Kapitolu. Stąd ma wyruszyć uroczysta procesja, wiodąca Wybawicielkę rzymskiego ludu, „Salus Populi Romani“ z wizytą do Świętego Piotra.

Prastary obraz, acheiropoietos (nie ręką ludzką uczyniony), słynie od wieków cudami w macierzy mariackich kościołów, Santa Maria Maggiore. Wczoraj uwieńczony laurem przeniesiono na Kapitol. Dziś pochód triumfalny towarzyszyć mu będzie szlakiem cichych podbojów, które w ciągu tysiąca lat przeniosły punkt ciężkości złotej Romy z Kapitolu na Watykan. Dzieweczko judzka, najpokorniejsza — śniłżeś Ci się dzisiejszy triumf, gdy Duch Mądrości kładł na Twe wargi słowa Magnificat? „...Oto błogosławioną zwać mnie będą wszystkie narody...“

Stoję na stoku Kapitolu, opodal pieczary z symboliczną wilczycą. wpośród tłumu gapiów, lecz i rozmodlonej ciżby — patrzę.

„Błogosławioną zwać mnie będą wszystkie narody...“ Wzdłuż Via del Mare ciągnie korowód wielobarwnych mnichów, kapituł, bractw. Oto biskupi wylegają z Tor de' Specchi, klasztoru sędziwego, w którym dotąd się gnieżdżą córki świętej Franciszki Rzymianki, wielce zaszczycone w tej chwili, że tak dostojni dygnitarze raczyli wyznaczyć sobie u nich punkt zborny. Skośnookie, żółte twarze, czarne jak heban, smagłe jak czekolada, w jednakich mitrach, w tychże samych fioletach, składające oto wspólnej Monarchini najpiękniejsze świadectwo jednomyślności katolickiej. Wszystkie serca biją jednym rytmem, przyciągnęła je z daleka, niby magnes przemożny, jedna miłość. Byłżeż kiedy w dziejach podobny pochód triumfalny, w którym by tyle narodów i ras brało udział duszą całą? „Błogosławioną zwać mnie będą wszystkie narody...“

Pochód miał ruszyć o czwartej. O piątej jeszcze stoi na miejscu. Pazienza! Coraz to doszlusowuje, machając pastorałem, jakiś spóźniony biskup, który zna się na południowych ocenach czasu. „Roma città eterna“— tłumaczą tajemniczo północnym naiwniakom cierpliwi tubylcy. Oblepili oto stoki Skały Tarpejskiej i wypatrują oczy. Że się ciągnie, w to im graj! Łaska wysublimowała w ciągu wieków dawną pasję igrzysk, na którą żali się Tacyt, lecz natury nie zniweczyła. — Rzymski ludek jest nadal arcyłasy na wszystko co barwne, śpiewne i odświętne. Pozatem — każdy tu jest zakochany w Madonnie: dla nas, Polaków, jest to chyba najmilszy rys.

Rusza nareszcie kolorowy wąż. Chwilę potem burza oklasków zwiastuje zbliżanie się cudownego obrazu. Zstępuje wolno po wysokich schodach, wiążących ulicę z kościołem na Kapitolu, — wśród nieopisanego entuzjazmu tłumów. Wszak modłom przed tą Madonną przypisują Włosi ocalenie Rzymu podczas ostatniej wojny!

Zeskakuję z mojego punktu obserwacyjnego na Tarpejskiej Skale i biegnę w kierunku Tybru, wzdłuż zawiłych uliczek dawnego ghetta, obok teatru Marcela i pałacu Farnese, by dotrzeć na plac świętego Piotra, zanim procesja przetnie mi drogę. O normalnej lokomocji nie ma mowy. Tramwaje wzdłuż Tybru, autobusy i trolleybusy stoją w cierpliwych ogonkach, kordony policji bronią drogi, którą za chwilę przejdzie orszak Madonny.

Na placu świętego Piotra cisza jak makiem siał. Mówi O. Lombardi. Słyszę go po raz pierwszy tak wyraźnie i z bliska.

Ma głos dziwnie przejmujący, o bogatej skali, rozedrgany wzruszeniem, niemal błagalny. Styl prosty i nieświadom retorycznych sztuczek. To co mówi — również proste. Przypowieść z Ewangelii. „Pewien człowiek miał dwu synów“. Ileż to razy słyszeliśmy tę historię? Jak to syn marnotrawny precz odszedł, zabrawszy ojcowiznę, roztrwonił ją, przehulał i wraca nareszcie...— Czemuż więc wszyscy słuchają z zapartym tchem?

Ojciec Lombardi zrozumiał coś, czego nie rozumie wielu kaznodziejów. Że słowa wtedy tylko „biorą“, gdy mają korzenie wewnętrzne. Nie trzeba być wielkim psychologiem, żeby wyczuć, jak bardzo tego niewidzialnego mówcę obchodzi los mojej, twojej duszy. Jak serdecznie o nią stoi, jak przypuszcza do niej szturm z całym arsenałem Ewangelii. Ten chyba jest sekret apostoła Italii: nie bawi się w retorykę i mówi prosto, jak Ewangelia do serca. Gdy kończy modlitwą „nas wszystkich, synów marnotrawnych, wracających do Domu Ojca“ — kto żyw pada na kolana, powtarza słowa, bije się w piersi.

Tymczasem orszak Orędowniczki Rzymu wyległ na Via di Conziliazione, mrugając mnóstwem światełek, niby świętojańskich robaczków. W miarę jak zapadał zmierzch, każdy szanujący się Reverendo produkował zacną świecę, by wziąć udział w iluminacji na cześć Madonny. Z daleka korowód wygląda jak złotem cętkowany wąż. „Che bello!“ — woła obok mnie starowina, gramoląc się na stopnie obelisku.

Wtem megafony zrywają nas na baczność. Zaraz po włoskim speakerze ktoś oznajmia nam po polsku, że za chwilę Ojciec Święty zmówi modlitwę, którą sam ułożył na cześć Wniebowziętej. Z kolei inne nacje dowiadują się tejże samej radosnej nowiny. Chwila ciszy. Rozlega się głos Papieża.

Błogosławione wynalazki techniczne, które go niosą Urbi et Orbi! Nie ma dziś takiego zakątku na globie, gdzie by nie dotarł na falach eteru. Jutro cały świat katolicki skupi się wokół aparatów radiowych i słuchać będzie z zapartym tchem nieomylnego orzeczenia. — spłyną na nich też same łaski, co na szczęśliwych uczestników uroczystości.

„Panno Niepokalana, Matko Boża i Matko ludzi!

„My wierzymy z całą żarliwością naszej wiary w Twoje triumfalne Wniebowzięcie, z duszą i ciałem...

„My wiemy, że Twoje wejrzenie, które pieściło tu na ziemi z macierzyńską czułością boleściwe i pokorne człowieczeństwo Jezusa, rozkoszuje się w niebie widokiem człowieczeństwa uwielbionego Mądrości niestworzonej...

„My ufamy, że Twoje źrenice litościwe patrzą na nasze troski i na naszą nędzę, na nasze zmagania i na na-



Ołtarz kościoła w Jeżewie na Pomorzu

sze upadki; że usta Twoje uśmiechają się do naszych triumfów i radości; że słyszysz głos Jezusa, mówiący Ci o każdym z nas: „Oto syn twój“...

„Mamy pewność niezłomną, że oczy Twoje, które płakały nad ziemią zroszoną krwią Jezusową zwracają się znów na ten świat, będący pastwą wojen, prześladowań, ucisku słabych i sprawiedliwych...

„My wierzymy, że w chwale, wpośród której królujesz, obleczona w słońce i w koronie gwiazd, Ty jesteś zaraz po Jezusie radością Aniołów i weselem wszystkich świętych...

„Z tej ziemi, po której pielgrzymujemy, krzepieni wiarą w przyszłe zmartwychwstanie, ku Tobie podnosimy wzrok, o życie nasze, słodyczy nasza, nadziejo nasza; przyciągnij nas głosem swoim najmilszym, by ukazać nam kiedyś, po naszym wygnaniu, Jezusa, błogosławiony owoc żywota Twego, o łaskawa, o pobożna, o słodka Panno Mario...“

Ci wszyscy, co słuchali słów Papieża na okręgu ziemi, pamiętają dobrze dźwięk jego głosu, rozedrgany wzruszeniem i czułość niezmierną, z jaką wymawiał imię najdroższe, pieszcząc niejako każdą sylabę. Powiernicy Piusa XII dobrze wiedzą, że dzień ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu jest najradośniejszym dniem jego pontyfikatu. Toż wiąże go z Niebios Monarchinią cichy sojusz od lat zarania, „ab ineunte aetate“, powie na audiencji biskupów. Cóż zaś milszego, jak spłacić dług wdzięczności Tej, której dłonie macierzyńskie są źródłem wszystkich łask?

Wzruszenie Papieża udziela się tłumom i tak już rozpłomienionym. — Wiwatują długo pod rozgwieżdżonym niebem, rozchodzą się nieskoro... Są tacy, którzy w ogóle z miejsca się nie ruszą. Zabrakło dla nich gospody, a zresztą czyż nie warto przespać się pod arkadami, by nazajutrz zająć lepsze miejsce? Z iście południową beztroską owijają się w opończe i kucają we wnękach, by przetrwać noc.

Istotnie nazajutrz od świtu rzesze pątników płyną w rozwarte ramiona kolumnady cienkimi zrazu strużkami, potem coraz bujniejszą falą, której odpryski centkują coraz gęściej Aleję Pojednania, by w końcu sięgnąć aż hen, po Tybr.

Zbrojna w pomarańczowy cyrograf, który istnym cudem „zorganizował mi“ w ostatniej chwili zacny a dostojny rodak, prześcigający (salva reverentia) najchytrzejszych cwaniaków przy umożliwianiu rzeczy niemożliwych, jednym słowem przewielebny Ksiądz Konsultor Michał Kolbuch M. S. — szarżuję środkiem placu punkt o szóstej z bezwzględnością kawaleryjskiego szwadronu (nie oglądając się wstecz na dokonane spustoszenia). Wzięłam już oto przeszkód mało wiele, gdy nagle staję dęba przed ostatnią, ponad ludzkie siły. Boć i tęgie parowce kapitulują wobec ławicy sardynek! — Praktyka wykazuje, że przenikliwość gęstniejącego tłumu ma swoje granice...Przed onemiż granicami staję oto, sapiąc. Nie ma rady! Trzeba stać.

Jakiś uczynny a ważny Monsignor prawi nam morały, zapewniając, że cierpliwi posiędą niebo. Istotnie w pewnym momencie ława rusza! Rozwarły się hen w oddali bronzowe wrota, chłonąc żarłocznie napierający tłum. Żandarmi w czerwonych pióropuszach usiłują rozpaczliwie utrzymać jaki taki ład. Im bliżej brama sezamu, tym większa gorączka. Młodzież kombinuje skróty, wspinając się bokiem po przęsłach improwizowanej balustrady. Robi się tłok nieznośny. Jakaś dama obok mnie słania się i mdleje. Jakiś grubas ryczy: „Per carità! Non spingete!“ Zdaję się na falę, która wypluwa mnie jak pestkę, nawpół rozgniecioną, na krużganek Watykanu. Odtąd wszystko idzie jak z płatka. Okazuje się, że cyrograf pomarańczowy jest istotnie nielada jaki! Ląduję u stóp świętego Piotra, strojnego w złotogłów, siadam... Ci tylko, co uczestniczyli w uroczystości, mogą ocenić to krótkie słowo: siąść. Jako, że lwia większość obecnych po prostu — stoi.

Wokół mnie sami Reverendissimi, przetykani kwefami. W świeckiej kiecce czuję się jak intruz i siedzę jak trusia...

Jest ósma. Bazylika szumi, jak olbrzymi ul. Coraz to zrywa się jakaś pieśń na cześć Madonny. Wtem głośniki oznajmiają, że orszak papieski wyrusza. Rozbrzmiewa Litania do Wszystkich Świętych, tłum odpowiada gromko, jak kanonada.

„Ci co będą wewnątrz, nie będą mogli wyjść“ — zapowiedział Monsignor Dante. Tedy oczyma duszy odtwarzam sobie obraz orszaku, który zwolna wypełnia esplanadę. Burza oklasków zwiastuje przybycie Papieża. Jeszcze chwila i dobrze znany, jakby zlekka przyćmiony głos intonuje „Veni Creator“.

Wezwawszy w sukurs Ducha Mądrości, Pius XII ogłasza ex cathedra nowy dogmat.

Nigdy chyba, jak dziś nie czuliśmy wyraźniej, czym jest tradycja Kościoła. Wszak dzień dzisiejszy dojrzewał nieprzerwanie od dwu tysięcy lat. Jednomyślna wiara nie tylko katolików, lecz i wielu braci naszych marnotrawnych utwierdzała się coraz pełniej w przekonaniu, że Ta, która była bez skazy, nie mogła podlegać skażeniu, że ta, którą Bóg wyjął spod prawa grzechu, nie mogła zaznać jego skutków, że ta, która ciałem swoim oblekła Słowo Przedwieczne, musiała uczestniczyć w Jego chwalebnym uwielbieniu .Nie ma „nowych“ dogmatów, wszystkie są stare jak chrześcijaństwo, ale Opatrzność wyznacza chwile w dziejach, w których prawdy drzemiące w powijakach świadomości, niesformułowane (implicite) dochodzą do głosu (explicite). Tak jak dąb w żołędziu, cały przepych doktrynalny dzisiejszej mariologii mieścił się w tym prostym fakcie, że kiedyś Dzieweczka w ubogim Nazaret powiedziała Bogu „tak“.

Płyną słowa uroczyste w nieskazitelnej łacinie. Wokół cisza tak wielka, że słychać oddechy. Na tę oto chwilę czekały tłumy nieprzeliczone, ku niej biegły ze wszystkich stron świata. Nie dziw więc, że teraz oto, gdy w wieczność zapadło ostatnie słowo, wpadają w istny szał zachwytu i wiwatują w niebogłosy.

Po dziękczynnym „Te Deum“ na nas kolej. „Ci co są zzewnątrz, nie będą mogli wejść“... Przez otwarte podwoje, wzdłuż szpaleru papieskiej gwardii przybocznej, wchodzi orszak.

I ciągnie bez końca. Proszę sobie wystawić sześciuset pięćdziesięciu biskupów, kroczących godnie i tyleż conajmniej innych dostojników, w mitrze czy bez mitry, opatów, audytorów świętej Roty, penitencjariuszy z różeczką w ręku, szambelanów, rycerzy maltańskich, któż by ich zliczył?

W końcu jawi się Ojciec Święty na swej sedia gestatoria, promienny cichą radością.

Po raz pierwszy oto rozbrzmiewa pod sklepieniem olbrzymiej bazyliki nowa Msza na cześć Wniebowziętej, z cudnie dobranymi tekstami: księga Judyty w czasie lekcji, w Ewangelii Magnificat. Zmienne części Mszy wykonuje srebrzyście chór chłopiąt z Montserrat, zwanych „mniszętami“, gdyż ubierają do kościoła coś w rodzaju habitów i oddają się na służbę Niebieskiej Pani jako jej rozświegotana gwardia przyboczna.

Widzę wyraźnie białą sylwetkę Papieża, twarzą do nawy. Głos jego rozbrzmiewa dziwnie mocno i solennie. Olbrzymi, wielojęzyczny tłum jest w tej chwili jednym sercem i duszą jedną. Z wielu oczu płyną łzy...

Ostatni, pożegnalny gest szeroko rozwartych, błogosławiących ramion i Papież znika na swej sedia gestatoria, odprowadzany oklaskami rozentuzjazmowanych rzesz. Jest kwadrans przed pierwszą. Na zmęczenie nie skarży się nikt. Co więcej, nikomu nie śpieszno do domu! Plac świętego Piotra nabity po brzegi. Wszystkie oczy są skierowane ku oknu Papieża, niekończące się wiwaty zapraszają go tak natrętnie, że w końcu znów jawi się jego biała sylwetka, na krzyż rozpięte ręce raz jeszcze błogosławią...

Wówczas dopiero, a nie wcześniej plac świętego Piotra zaczyna pustoszeć. Starowinka w mantyli, która tuż koło mnie drżącym głosem wołała: „evviva“ wyciąga z kieszeni kraciastą chustkę, ociera łzy i szepce, ni to do mnie, ni to do siebie: „Madonna mia, dziękuję ci żeś mi dała dożyć tego dnia...“

Maria Winowska

TOMASZ DOBROWOLSKI

KSIĄŻKI

„HAŁAŚLIWE ŚWIATY"

Immanuel Velikovsky — „Worlds in Collision“. New York 1950.

Bywają nieraz książki, które wymagają omówienia nie dlatego, aby przedstawiały wybitną wartość, ale dlatego, że z tych czy innych powodów zdołały już obudzić zainteresowanie szerokiej publiczności, że w innym kraju i innym środowisku wzniecіły wokół siebie burzę sprzecznych opinii, że wywołały taki lub inny skandal, że słowem nabrały rozgłosu.

Czy książka Immanuela Velikovsky'ego nabrałaby takiego rozgłosu, gdyby miejscem jej pierwszego wydania był inny kraj, a nie Stany Zjednoczone — trudno na to odpowiedzieć. Osobiście wątpię. Ale w kraju, gdzie sensacyjność jest najlepszą podstawą sukcesu, a gdzie publiczność nauczyła się przyswajać zdobycze nauki i techniki za pośrednictwem fantastycznych powieści obrazkowych w t.zw. „comics“, popularnych tygodnikach, gdzie bohater jednego z opowiadań skacze w gronie małp po drzewach, a bohaterka drugiego wyrusza pociskiem rakietowym na podbój księżyca — w takim kraju, powtarzam, książka „Zderzenie światów“ mogła liczyć od początku na sukces kasowy.

Treść książki Velikovsky'ego możnaby przedstawić pokrótce jak następuje:

Około trzech i pół tysiąca lat temu, w okresie wyjścia żydów z Egiptu, kometa, prawdopodobnie wyrwana część planety Jowisz, zbliżyła się na bliską odległość do Ziemi. Podróżując wraz z Ziemią w przestworzach przez szereg lat kometa ta miała się stać przyczyną wstrząsających katastrof, o których mówią starodawne pisma i których ślady przechowują się w różnych legendach. Kometa ta miała spowodować gwałtowne zaburzenia kosmiczne, przesunąć bieguny magnetyczne i oś obrotu ziemi, zwolnić, względnie zatrzymać obrót ziemi dokoła osi, przy okazji zalewając ziemię potokami nafty, powstałej z zawartych w ogonie komety gazów, wywołać kolosalne przypływy i odpływy, wysuszając czasowo Morze Czerwone, a wreszcie odpłynąć w przestrzeń, aby po kilku wiekach powtórzyć tę samą historię, tylko na większą skalę z inną planetą układu słonecznego — z Marsem.

Ten wyczyn miał zakończyć jej złowrogą działalność i odtąd kometa ta, w myśl opowieści Velikovsky'ego, sama została spokojną planetą, znaną nam pod mianem Venus i krąży teraz spokojnie blisko słońca. Ale wytrącony z równowagi Mars z kolei zbliżył się do Ziemi i w siódmym wieku przed Chrystusem wywołał nową serię przerażających katastrof, tak straszliwych, że ludzkość straciła o nich pamięć i nie opisała ich w ogóle w dokumentach historycznych, a jedynie zostały wspomnienia w postaci symbolicznych legend, których „właściwe“ znaczenie wyjaśnia nam p. Velikovsky.

Punktem wyjścia dla Velikovsky'ego stała się pokaźna ilość nierozwiązanych dotychczas z naukowego punktu widzenia zagadek, dotyczących przeszłości naszego globu. W pracy swej zadaje on szereg pytań pod adresem oficjalnej nauki: Skąd się wzięły mamuty na Syberii, jak wytłumaczyć istnienie w przeszłości lasów podzwrotnikowych w okolicach obecnych biegunów, co spowodowało epoki lodowcowe?... I cały szereg innych pytań.

Dla udzielenia odpowiedzi na te wszystkie zagadnienia Velikovsky pracą kilku lat zaopatrzył się w cytaty z różnych starodawnych pism i zapatrzony w nie zbudował swoją teorię. I gdyby ograniczył się do tego, to powstałaby może nowa, dość interesująca hipoteza, rzucająca więcej światła na przypuszczalną przeszłość naszego globu, niż ewolucjonistyczne teorie Lamarcka i Darwina. Ale stworzenie hipotezy nie wystarczało Velikovsky'emu. I tu się zagalopował. Do przypuszczeń, które miały pewne cechy prawdopodobieństwa, wprowadza nieuznającą żadnych granic fantazję, cytaty, teksty i legendy nagina bezceremonialnie do swoich potrzeb, z krytycznej metody badania naukowego i historycznego robi kompletną farsę a sposób wyprowadzania kategorycznych twierdzeń z uzyskanych źródeł urąga w jego książce wszelkim zasadom logiki.

I to właśnie zjednoczyło niemal kompletnie przeciw Velikovsky'emu amerykańskich przedstawicieli świata naukowego. Dyrektor Instytutu Astronomii Uniwersytetu Stanu Indiana Frank K. Edmonson pisze o „Zderzeniu światów“ co następuje:

„Jest to bez wątpienia najbardziej zatykający oddech zbiór niedorzeczności, jaki ujrzał światło dzienne od czasu wynalezienia druku. Trudno zrozumieć, jak podobna książka mogła być opublikowana. Wydawcy staną się przedmiotem kpin na cały szereg lat“.

Osobiście nie sądzę, żeby wszystkie bez wyjątku tezy Velikovsky'ego zasługiwały na odrzucenie bez rozpatrzenia. Ale jego książka, w tej formie, w jakiej została ogłoszona, nie może pretendować do miana naukowej publikacji. A przewijające się przez jej tekst pozory metody naukowej mogą łatwo zdezorientować bezkrytycznego czytelnika, a znęconej rozgłosem szerokiej czytającej publiczności przynieść bez porównania więcej szkody, niż pożytku.

Tomasz Dobrowolski

O NIEPOKALANEJ

Niepokalana jest tą drabiną, po której idziemy do Przenajświętszego Serca Jezusowego, a kto by usuwał tę drabinę — nie wejdzie do góry i runie na ziemię. My wierzymy mocno, że Ona prowadzi nas do Pana Jezusa...

Być narzędziem w ręku Niepokalanej — znaczy dać się Jej kierować we wszystkim.

Czym bardziej będziemy Niepokalanej — tym też doskonalej zrozumiemy i pokochamy Jezusa, Boga Ojca i całą Trójcę Przenajświętszą.

Naśladujemy ludzi dobrych, cnotliwych, świętych, ale żaden z nich nie jest bez niedoskonałości: — tylko Ona, Niepokalana od pierwszej chwili Swego istnienia nie ma żadnego, chociażby najlżejszego upadku. Ją więc naśladować, zbliżyć się do Niej, stać się Jej, oto szczyt doskonałości człowieka.

Jakiż spokój daje to święte imię „MARIA“.

Powtarzajmy je często w głębi duszy: niech stanie się oddechem naszego serca.

O. MAKSYMILIAN KOLBE

JÓZEF FRANKIEWICZ

»PAWIE PIÓRA ŁADNE«

Po zrzuceniu gimnazjalnych mudurków przyjechaliśmy do Krakowa, w czasach, gdy miasto szumiało jak ul. Roiło się od „królewiaków“, którzy tu uciekli po wydarzeniach 1905 roku. Miastem szumiały zwycięskie fanfary japońskie z gaolanowych pól mandżurskich, spod Mukdenu, znad Amuru, znad Jalu... Wydawało się, że i tu bliżej „coś“ się stać musi.

Najgłośniej mówiło się o tym w „Kawiarni Japońskiej“ przy ulicy Sławkowskiej, gdy wieczorami przepełniona była do ostatniego krzesła w półświetle różnobarwnych lampionów oraz pod parasolami w kolorach „wschodzącego słońca“ nawet kawiareczki, podające napoje starały się drobić kroczkami japońskich „muśme“.

Tymczasem w oczekiwaniu na to „coś“, zapisaliśmy się na prawo, nie bez tego, żeby ten i ów nie skręcił jednocześnie trochę na lewo, do „Szkoły Dramatycznej“ Przybyłowicza. Przecież marzeniem o teatrze żyliśmy tyle lat na prowincji, jakże więc teraz zrażać się straszakiem, że kulawy zgryźliwiec, prof. Ulanowski, woli przy kollokwiach ścisłe odpowiedzi, niż najbardziej porywające kwestie z Uriela Acosty.

W szkole Przybyłowicza, b. artysty Teatru Słowackiego (napół sparaliżowanego kaleki) wyżywaliśmy się do syta, przyczym nie bez znaczenia była możność korzystania przez jego uczniów z ulgowych biletów teatralnych.

Przy tym wszystkim trzeba było gdzieś mieszkać i jakoś żyć, co nie przychodziło z łatwością. Na „jarskie“ obiady chodziło się do „Hygienicznej Mleczarni Zdrowie“ przy ulicy Św. Tomasza. Cały obiad kosztował 30 centów i droższego nie było, chyba zdublować. Nie dużo pieniędzy, ale i obiadu nie wiele: zupka, na drugie naleśnik, lub zawijany gołąbek albo kluseczki, w sezonie zaś knedelki ze śliwkami, po 5 sztuk na talerzu. Ta cyfra była najbardziej irytująca i nic dziwnego, że po takim „hygienicznym“ obiedzie — chodziło się z lekką mgiełką melancholii w oczach. To nie kwestia, w transie twórczej lekkomyślności, głosić:

„...Niechaj pasie brzuchy
Podłych filistrów naród —
my, artyści,
My, którym często na
chleb braknie suchy,
My, tak podobni do jesiennych liści...“

Nie powinien był Tetmajer tak pisać.

Po tym, taka mleczarnia „Zdrowie“ i dziesiątki innych podobnych już z góry każdego pasują na artystę i podstawiają mu na talerzyku jesienny liść kapusty, udający gołąbka albo pięć knedelków ze śliwkami, żeby broń Boże nie pomyślał, że się go uważa za podłego filistra...

W niedzielę chodziło się przed południem na flaki do Gadzińskiego, pod kościół Mariacki. To była najlepsza krakowska flaczarnia. Trzeba było jednak wcześnie złapać miejsce przy stoliku, bo waliło tam, na te flaki, pół Bronowic po przyjeździe na nabożeństwo do Panny Marii, albowiem to była ich parafia.

Flaczarnia była tuż naprzeciw, w mrocznym podwórzu, w ogromnej, długiej komnacie, przypominającej krzyżacki refektarz z Konrada Wallenroda. Śliczne były tę Bronowiczanki, w powodzi wstążek i świecących blaszek przy gorsetach. A przy nich ich kawalerowie w białych płótniankach i w dozkołysanych pawich piórach przy czapkach. Pana Rydlowe szczęście, uplatane w „warkocz jeden, drugi, a gruby, a długi“, także pewnie za panieńskich czasów na te flaki przyjeżdżało. A tyle miłosnej gorącości nazbierał Rydel w wierszach dla tej swojej „Jadwisi“, że mu ten tomik poezji sam Wyspiański ilustrował. Nikogo innego z poetów ten zaszczyt nie spotkał.

Przy dość trudnych ówczesnych warunkach „hygienicznego“ życia studenckiego, między jedną mleczarnią „Zdrowie“ a drugą, jasnym promieniem był dla nas teatr.

Kochaliśmy się na dystans we wszystkich aktorach i aktorkach, nie opuszczaliśmy żadnego przedstawienia, a było na co chodzić. Ilekroć na afiszach pokazało się nazwisko tego czy innego z ulubionych artystów, tej czy innej znanej aktorki, cały Kraków ubrany uroczyście, szedł do teatru, jak do świątyni sztuki. Irena Solska, nasza Lilla Weneda, była na ustach wszystkich, nie brakło jej nigdy kwiatów i oklasków, tak, że trudno by jej było wymówić słowa: obojętność tłumu. Rodzona siostrzyca Solskiej także nie mogła narzekać na samotność i opuszczenie, mimo, że unieruchomiona w ślicznym posągu musiała stać na Plantach, niedaleko Wawelu.

Kwitnie tam gąszcz najpiękniejszych jaśminów i sekret najczulszych wyznań oraz dozgonnych przysiąg, równie trwałych, jak i ten upojny zapach kwiatów, w ciszy wieczornych godzin. A z góry, ze swego cokołu, patrzy z zastygłym w kamieniu półuśmiechem, najbielsza z lilii, Lilla Weneda, bogów awentyńskich kapłanka.

Ona wie, że więcej w tym wszystkim poezji, niż powszedniego grzechu. Trujący na śmierć kwiat grzechu będziemy oglądać w teatrze. Właśnie idzie „Mazepa“ z Józefem Sosnowskim. Patrzymy na niego jak urzeczeni, to najwspanialszy polski Wojewoda, już drugiego takiego nie będzie. Jerzy Leszczyński (syn wspaniałego Bolesława, też Wojewody na scenie warszawskiej) gra Mazepę.

Gdy w dwadzieścia kilka lat później Zygmunt Nowakowski żegnał w przepięknych słowach wielkiego artystę, leżącego już w trumnie, stanął mi jak żywy przed oczami Sosnowski — Wojewoda, pochylony w obłąkanej rozpaczy nad zwłokami ukochanego jedynaka Zbigniewa:

„...A wstańże śpiochu!...
Wstańże i baw... Co, nigdy już?...
Nigdy?... Garść prochu?...“

Byłem bardzo wzruszony. To wczesna młodość zakochanego w teatrze studenta zdaleka na ten pogrzeb przybyła i jej to wargi, jak przed wielu, wielu laty, szeptały te słowa Sosnowskiego tym razem u własnej jego trumny.

Bardzo wcześnie, na wiele lat przed Sosnowskim zgasł w pełnym rozbiegu świetnego meteoru, wirtuoz słowa scenicznego Kazimierz Kamiński. Wysoki, matejkowski fotel Stańczyka zajął po nim Leonard Bończa, ale to już nie to samo. Na reżyserii „Wesela“ ciążyło genialne oko Wyspiańskiego i tą szkołą szło „Wesele“ dłuższy czas po jego śmierci (listopad 1907 r.),

Wykruszyli się powoli starzy aktorzy tej „szkoły“. Wbrew najlepszym chęciom ich następców „Wesele“ na rozmaitych scenach zmieniało się czasem w prawdziwe weselisko, aby głośniej, choć nie zawsze trzeba i aby jak najhuczniej z tą muzyką. Na jednej ze scen (w mieście uniwersyteckim) widziałem (w 1925 r.) zainstalowaną całą kapelę, bo co taka skromna wiejska muzyka, jak ją Wyspiański pojmował?... Zwerbowali kilkunastu muzykantów z trąbami, z bębnami, z czym kto chce i rżnęli cały czas od ucha, w tempie jak do defilady. Niech im Bóg nie pamięta i reżyserowi — także... Niepotrzebnie tylko język sobie skąsałem po cichu. Jedno jest pewne, że na dawnej, krakowskiej scenie, taka festynowa orkiestra wystraszyłaby w czambuł wszystkie zwidy, mary, zjawy, daleko przed progiem. Ani jedna nie byłaby się ukazała na scenie, począwszy od Chochoła (Józefa Węgrzyna). W ogóle nie doszłoby do „Wesela“, bowiem Panna Młoda (Ordon Sosnowska) za nic w świecie nie wyszłaby za takiego Pana Młodego. Od ołtarza by mu uciekła! To nie dla niej byłby mąż, ten śliczny wymuskany „Fircyk w zalotach“, ubrany w krakowski strój. Niezbyt też dobrze czuły się w swoich strojach tę wszystkie Jaśki, Kaspry... Prawda, że w niektórych okolicach chłopi, to przeważnie szlachta chodaczkowa, z manierami, ale też nie powinni się ubierać w pawie pióra, trzeba je umieć nosić.

Ze starych krakowskich artystów żyją w kraju Ludwik Solski i Aleksander Zelwerowicz. Chciałbym się ich obu, tak na ucho zapytać: „Jak się wam podoba?“ Tę śliczną szekspirowską baśń komediową wystawił Solski w Krakowie w 1907 roku, a Zelwerowicz zbierał w niej zasłużone laury. Również za Solskiego, jako dyrektora teatru krakowskiego szedł w tym samym mniej więcej czasie Nowaczyńskiego „Dymitr Samozwaniec“, w którym grał on tytułową rolę. —

Po co o tym wszystkim pisać?... Że młodość, że „pawie pióra ładne“?...

Józef Frankiewicz

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

Z KSIĘGI „POCHWAŁA DŻUNGLI"

I.

„OD — DO“

Broń mnie, o dobry Boże,
od wszelakiej mizerii,
od „chcę z tobą porozmawiać na serio“,
od zagubionej spinki,
od powieści wychodzących w odcinku,
od marzeń,
od PT. dygnitarzy,
od opery, radia i kina,
od „domowego“ wina,
i tanga —
„Bo to się zawsze tak zaczyna“...

Od „bliźnich“,
od ruskiej „szczastliwoj żizni“,
angielskich doktorów,
i —
facetek, piszących „chram, zwid i korab“.

Od ścieżek krętych,
pychy nadętej,
od — radcy, magistra, auskultanta,
i od wiecznego polskiego —
t r a g e d i a n t a .

W tym chyba nie będzie grzechu:
pozwól mi się — uśmiechać
prymitywnie, dziecinnie, cielęco
nic więcej —
do — ptaków znikąd przyszłych
samemu sobie myśli,
do skrzypu drewnianej arby
opartej na wolich garbach,
do snującego w rynku
murzyna-ślepca z dziewczynką,
do — dnia co byłby bez nocy
czymś niepełnym, nie wiedzieć po co,
do — wcieleń, zdarzeń i jestestw,
niekończących się, z Ciebie poczętych,
w których przecie i TY — uśmiechnięty —
jesteś.

II.

APANA

Przed angielskim sędzią
prawuje się murzyn Nzomi
z gospodarzem Hindusem.
Murzyn twardo stoi na swoim:
— Apana, nie. On tyle robić nie będzie.

Patrzę na śmieszny kapelusz
(niegdyś „Smith Brothers“...)
twój, o Nzomi,
prawie-obywatelu,
i dumam nad nierównością, —
jeszcze jedną, — przyczyn i skutków:

Takie samiutkie
słowo —
nie, „niet“, „apana“
gdzie indziej (znajomy świat)
kosztuje — dziesięć lat
„Isprawitielnawo Trudowowo“
w okolicach, no powiedzmy, Kazachstanu.

III.

NA KRÓLEWSKIM DWORZE

Król czarny jak „pół czarnej“,
café au lait królowa.
On mówi po angielsku jak ja, —
to znaczy źle, —
ona —
ni słowa.
Nachyla się ku mnie paź,
może — lokaj,
a może — marszałek dworu,
(wszyscy są ubrani raz w roku
w marynarki niebieskiego koloru).
Biorę kanapkę z serem,

kawałek ciasta.
Obserwuję królewską mość:
pije jak król,
pali jak król.
Decyduję: jest król i basta.

Zajeżdża limuzyna.
Król za chwilę otwierać raczy
zawody piłki nożnej.
(Nie wypada inaczej,
nie można.)

Kłania się brytyjski urzędnik,
salutują askari
na warcie.
Rozglądam się. Obchodzę ostrożnie tron
(nie wypada inaczej),
najprawdziwszy królewski tron —
ze skór lamparcich.

Jerzy Dołęga Kowalewski

Afryka Wschodnia 1944.

STANISŁAW JANICKI

Z DZIEJÓW KULTURY POLSKIEJ

KAWALERIA N. M. P.

Stanisławowi Kościałkowskiemu — Prześwietnej Wszechnicy Batorowej Profesorowi

W dniu 27 listopada 1633 r. panował w Rzymie niezwykły ruch. Raz po raz przez główne ulice miasta przejeżdżały złociste karety kardynałów i posłów zagranicznych, zdążając ku bramie Flamińskiej. Udekorowane balkony uginały się pod ciężarem stłoczonych widzów, a nawet drzewa i dachy oblepione były gawiedzią, wyglądającą z upragnieniem początku widowiska.

Od paru godzin krążyły już bowiem fantastyczne wieści o przepychu, z jakim wystąpi Wielki poseł Władysława IV, króla polskiego, szwedzkiego i cara moskiewskiego, przy uroczystym wjeździe do wiecznego miasta.

Rzeczywistość okazała się stokroć bardziej wspaniała.

Wjazd Jerzego Ossolińskiego, rysowany przez Della-Bellę, de Rossi'ego i innych sławnych malarzy, opiewany przez poetów i ze szczegółami opisywany przez historyków — niewątpliwie był widowiskiem niepowszednim i wspaniale przez posła wyreżyserowanym.

Kubala taki daje obraz orszaku polskiego poselstwa:

„Pochód otwierali dwaj przystawi, po polsku ubrani, za nimi muły i wielbłądy. Mułów było 30, wszystkie przykryte długimi oponami z szkarłatnego sukna, na których błyszczały herby posła złotem wyszyte. Dziesięć wielbłądów ze srebrnymi dzwonkami niosło drogie sprzęty pokojowe, pokryte jedwabnymi oponami, tkanymi złotem. Za nimi czterej trębacze posła, których sztukę całe miasto podziwiało, przygrywali gwardii kozackiej, złożonej z 34 jeźdźców, od stóp do głów uzbrojonych, w mundurach z różowego jedwabiu, złotem litych, z białymi piórami u czapek. Za nimi szlachecka gwardia papieska z muzyką oraz dworzanie kardynałów, z kapeluszami kardynalskimi na plecach.

Drugi orszak otwierał starzec z długą białą brodą. Suknię miał złotą, perłami sadzoną, bogata tarcza wisiała u łęku, w ręku trzymał dzidę perskim obyczajem. Jechał spokojnie, a skrzydła z piór żórawich, roztoczone od kulbaki, zdawały się go unosić. Z podziwieniem patrzano na tego starca.

...Dalej prowadzili masztalerze sześć koni tureckich, tak pięknych, jakich w Rzymie nie widziano. Rzędy szczerym złotem kowane, strzemiona złote, czapraki diamentami, rubinami i szmaragdami haftowane. Na czołach sztuki klejnotów, z których każdy wart był do 20.000 szkudów (10.000 dukatów), mieniły się przy blasku słońca, a kiedy dwie podkowy złote, umyślnie w tym celu złamane, odpadły i na łup gminowi się dostały, podwoiła się uwaga i szmer tłumu, który sobie tę nowinę z ust do ust podawał. Jechał za tymi końmi koniuszy posła, trzymając srebrną buławę w ręku, a za nim orszak dobranej młodzieży dworskiej. Wszyscy w perskich złotogłowiach, jednakowo ubrani, szable, handżary i siedzenia błyszczące od złota.

Drugi ten oddział pochodu zamykał orszak dworzan posła hiszpańskiego i kardynałów".

Niemniej wspaniale wyglądały dalsze grupy pochodu: członków poselstwa i panów polskich, specjalnie na wjazd przybyłych do Rzymu. By nie nużyć jednak czytelnika, cytuję końcowy ustęp opisu najbliższego otoczenia posła i jego wspaniałego stroju:

„Huczne okrzyki i cisnące się tłumy oznajmiały zbliżenie się posła. W ruchomym szpalerze szeroko rozstawionych Szwajcarów, poprzedzony kompanią piechoty w mundurach niebieskich z guzami i piórami srebrnymi, jechał Gembicki, sekretarz poselstwa; tuż za nim dwóch prałatów, strojnych w fiolety: arcybiskup amazyjski, marszałek dworu papieskiego i Cajetani, patriarcha aleksandryjski, a pośrodku nich Ossoliński. Ubiór jego w odległości szary, za zbliżeniem rozrzucał iskry diamentów. Wyglądał jak szary zmierzch. Suknia na czarnym jedwabiu w złote łuski haftowana, bogatym futrem ozdobiona, miała u spięcia po 20 szerokich pętlic diamentowych i tyleż guzów sporych, każdy z jednej sztuki diamentu. Karabela klejnotami sadzona, na 20.000 szacowana, czołdar perłami i rubinami posuty. Siwy koń świecił chryzolitami, strojny w czarne pióra, przy uszach czuby, gęsto diamentami przeplatane, siedzenie na nim, a nawet strzemiona, drogimi kamieniami sadzone. Ten strój diamentowy dodawał blasku poważnej urodzie. Łagodnym uśmiechem okazywał swą wdzięczność ludowi, który go wśród radosnych okrzyków do poselskiego prowadził pałacu. Tam, gdy wjeżdżał, powitał go huk armat z zamku św. Anioła".

Tak się odbył wspaniały wjazd do Rzymu Ossolińskiego, o którym przez wieki pisano, rzadko jednak wspominając, jakie uzyskał on sukcesy dyplomatyczne i z czym powrócił do kraju.

Imię Władysława Wazy nie było Rzymianom obce. W roku bowiem 1624 królewicz, odbywając długą podróż zagraniczną, zwiedził Niderlandy, Szwajcarię i Włochy.

Z tego to okresu datuje się portret Władysława, kawalera orderu Złotego Runa, malowany przez Rubensa.

Królewicz odbył pielgrzymkę do Loreto, gdzie jako wotum złożył złoty posążek swego patrona, następnie w Rzymie był uroczyście przyjmowany przez papieża Urbana VIII. Otrzymał on wówczas poświęcony miecz i czapkę oraz wysoką godność kanonika Bazyliki św. Piotra, aby mógł okazać z balkonu zgromadzonym tłumom chustę św. Weroniki, jedną z największych świętości Kościoła.

Jerzy Ossoliński, jako Wielki poseł króla Władysława, miał wiele ważnych i drażliwych spraw do załatwienia i trzeba przyznać, że wywiązał się ze swej misji doskonale.

Na uroczystej audiencji ofiarował on Ojcu św. wspaniałe dary królewskie: akt darowizny papieżom Rzymu przez cesarza Konstantyna, który to dokument był zdobyty w Moskwie*) oraz trzy wspaniałe arrasy z cyklu „Potop". Wykonane one były swego czasu w liczbie 24 dla Zygmunta Augusta w Niderlandach za bajońską wówczas cenę 100.000 dukatów. Mowa Ossolińskiego, wypowiedziana wspaniałą łaciną, tak się podobała papieżowi, że kazał ją wydrukować.

„Przybywa znowu do Rzymu — mówił Ossoliński — Ojcze Święty, Władysław, który przed laty, ozdobiony zwycięstwy nad barbarzyńcami, u stóp Twoich pokłon oddał, a dziś w troistej koronie na głowie, przeze mnie, posła swego, pokornie przed Twą Stolicą Apostolską upada. Władysław, mówię, polski i szwedzki król i wielki car moskiewski, który nim królować począł, królów i królestwo łupieżców poskromił".

Między innymi uzyskał Ossoliński potwierdzenie statutów zakonu rycerskiego (orderu) Niepokalanego Poczęcia. Przywiózł on do Rzymu nawet strój rycerza Kawalerii Panny Marii, który papież pobłogosławił i posłał królewiczowi Janowi Wojciechowi, kardynałowi, aby weń króla przyodział.

Nie zapomniał jednak Ossoliński i o sobie, papież dobra jego Ossolin z wszystkimi przyległościami w księstwo zamienił, a jemu i jego następcom nadał tytuł książęcy. Ten zdawałoby się drobny fakt miał jednak decydujący wpływ na losy t.zw. Kawalerii N.M.P. Niepokalanego Poczęcia.

Król Władysław IV wstąpił na tron w wieku już dojrzałym, a mając za sobą sławne zwycięstwa, przystąpił od razu do realizacji swych wielkich planów: wypędzenia Turków i Tatarów z Europy i oswobodzenia Św. Grobu Chrystusa. Za jeden z koniecznych ku temu środków uważał wzniecenie w narodzie gorliwości krzyżowców, wzmocnienie władzy królewskiej i zacieśnienie stosunków z władcami i książętami obcymi.

Do tego miał służyć powstający Zakon Rycerski — t.zw. Kawaleria N.M.P.

Oddając swe dzieło pod wezwanie N.M.P. Niepokalanego Poczęcia (na dwieście przeszło lat przed ogłoszeniem dogmatu), król był jedynie wyrazicielem powszechnych wierzeń i specjalnego kultu polskiego rycerstwa do Bogu Rodzicy. Jerzy Ossoliński (któremu Jasna Góra zawdzięcza fundację hebanowej kaplicy N.M.P. Częstochowskiej) był najzaufańszym współpracownikiem Władysława i niewątpliwym autorem statutu Orderu.

Uroczystość złożenia przysięgi i dekoracji pierwszych członków Kawalerii N.M.P. Niepokalanego Poczęcia miała się odbyć w dniu koronacji królowej Cecylii Renaty.

W tym celu poczyniono daleko idące przygotowania.

Ustalono następujący ceremoniał.

Kawalerowie zbiorą się 14 września 1637 r. o 10 z rana na pokojach królewskich, w stroju polskim koloru brunatnego i udadzą się wraz z królem do katedry. Tam król do arcybiskupa przystąpi, a spytany: „Czego chcesz?" — odpowie: „Chcę zostać rycerzem Niepokalanej Panny i sposobie sobie drugie rycerstwo ku czci Boga-Rodzicy i Kościoła Rzymskiego".

Następnie przysięże, że królestwa swego całości i zacności i pożytku po Bożej, Marii Panny i Kościoła rzymskiego i Stolicy Apostolskiej czci, bronić i zawsze je przed oczyma mieć będzie, że w razie wojny z poganami i niewiernymi wszystkie siły swoje przeciwko nim obróci, że starać się będzie, aby żołnierze Bractwa na żołdzie przestawali, nic gwałtem nie wyciągając, a jeśli by posłyszał, by ktoś Boga i Jego Najświętszą Matkę bluźnił, na takiego choćby z niebezpieczeństwem życia powstać powinien. Po przysiędze arcybiskup okryje króla płaszczem rycerskim, szyszak na głowę i łańcuch na szyję włoży. Wtedy król, usiadłszy na stolicy u ołtarza, wymieni braci, do tego urzędu wybranych, z cnoty i zasługi wyliczając, mianowani wykonają przysięgę i wezmą z rąk króla broń poświęconą, szyszak i płaszcz i ręce całować będą na dowód, że po Bogu i Jego Kościele, jemu, jako panu swemu posłuszeństwo winni.

Gdy przyjdzie czas przyjmowania Sakramentu, naprzód król, a potem każda para przystępować będzie. Po wspólnym przyjęciu Sakramentu wrócą parami, z świecami gorejącymi w ręku do pałacu królewskiego, a tymczasem chór śpiewać będzie „Niech żyje król".

Liczbę braci ustalono dla Litwy i Korony na 72, zagranicznych na 24. Wielkim Mistrzem Orderu miał być każdorazowy król polski.

Oznakę zakonu stanowił łańcuch złoty, podbity jedwabną materią. Ogniwa składały się z rzeźbionych płytek złotych, które się kolejno przeplatały. Jedne były okrągłe z białą lilią z emalii, o złotych promieniach, z napisem: IN TE (w Tobie), drugie czworograniaste ze snopkiem strzał, otoczonych dokoła wstążką z emalii, na której wypisane UNITA VIRTUS (złączona cnota). U łańcucha wisiał krzyż ośmioramienny czerwony, w środku którego jaśniał biały obraz Boga-Rodzicy, trzymającej Dzieciątko, z gwiazdami dokoła głowy, depcącej smoka. Po obu stronach napis VICISTI VINCE*) (Zwyciężyłaś, zwyciężaj). Na odwrotnej stronie krzyża znajdował się Orzeł Biały z podniesionymi skrzydłami.

Król kazał bić statuta i wykonać szereg orderów, przeznaczonych dla pierwszych kandydatów, którzy mieli być przyjęci do Kawalerii N.M.P. Niepokalanego Poczęcia. Zapraszające do zakonu rycerskiego listy wystosowano do: Królewicza Jana Kazimierza, Stanisława Koniecpolskiego, Stanisława Lubomirskiego, Albrechta Stanisława Radziwiłła, Aleksandra Radziwiłła, Kazimierza Leona Sapiehy i Jerzego Ossolińskiego.

„Wielmożny, uprzejmie nam miły (pisał król)... Kawalerię pod tytułem i imieniem Błogosławionej i Niepokalanej Matki Bożej wszystkiego Chrześcijaństwa zastępy fundować umyśliliśmy, naznaczywszy w Warszawie chwalebnemu temu aktowi dzień 14 września. Na który czas W.W. do tej kompanii wzywamy, tej będąc nadziei, że W.W. powinną wdzięcznością honor ten z rąk naszych przyjmiesz oraz Krzyż Świątobliwego związku tego in signo od Ojca Św. nam przesłany..."

Niestety Lubomirski, Koniecpolski, a co dziwniejsze królewicz Jan Kazimierz od zaszczytu tego się wymówili.

Stanisław Lubomirski taką dał odpowiedź:

„Godna chwały i wszelakiej wdzięczności ta miłość i pieczołowanie W. K. Mości, cokolwiek do ozdoby jej (Ojczyzny) zamierzać raczysz. Ale że wszelakich, a pogotowiu takich nowości naród podejrzliwy i wolność kochający nienawidzi i ciężnia się takich rzeczy boi, i już to przedsięwzięcie jest wszem wiadome i bardzo wszędzie szemrzą...".

Podobne listy zachwiały stanowczość królewską, za radą kanclerza litewskiego zaczął on czynić poprawki w statutach, skreślając zdania, które by mogły drażnić szlachtę.

Tę chwilę wahania wykorzystali odrazu dyssydenci, którzy wszelkimi siłami postanowili nie dopuścić do powstania Kawalerii pod wezwaniem znienawidzonego przez nich imienia N. M. Panny. Głowa innowierców, Krzysztof Radziwiłł, wręczył królowi petycję, złożoną z dwunastu punktów, p.t. „Rationes przeciwko Kawalerii". W piśmie tym dowodził, że Kawaleria N. M. P. zagraża równości szlacheckiej, wolnej elekcji i może stać się powodem wojny religijnej. Ponieważ król „Rationes" musiał przedstawić senatorom, odłożył inaugurację zakonu rycerskiego do dnia 8 grudnia.

Tego tylko potrzeba było innowiercom. Z niebywałą energią rozpoczęli oni wielką kampanię zarówno przeciwko samemu projektowi, jak i osobiście Ossolińskiemu, który jako podwójny już książę (papieski i cesarski) był szczególnie przez szlachtę znienawidzony.

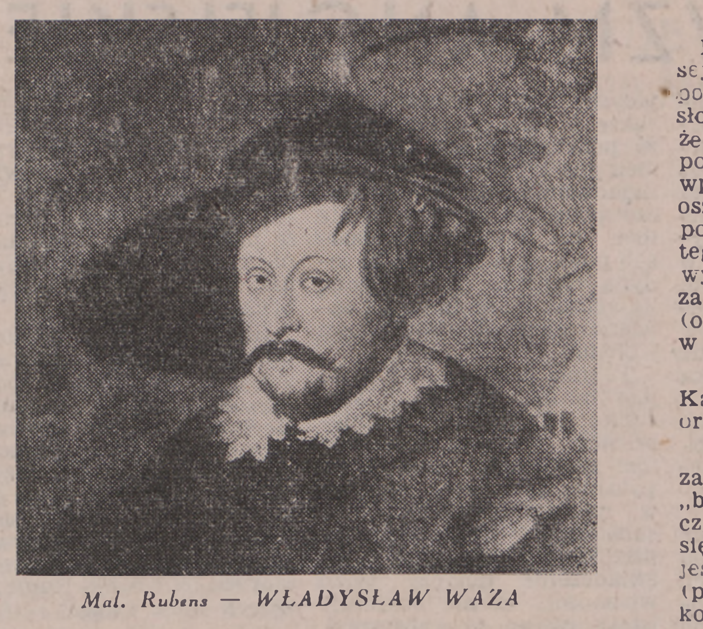
Magnateria nie mogła mu darować, że „mizerny szlachetka" ich przerasta wpływami, a zaczyna nawet wielu dorównywać bogactwem, szlachta zaś nie mogła Ossolińskiemu darować jego dumy i książęcych tytułów. Równość była wówczas na ustach wszystkich, podobnie jak dziś demokracja, nie przeszkadzało to jednak szlachcicowi herbu Rola wywodzić swój ród od Cyncynata, a klejnotu Kolumna podszywać się pod Collonnów. Pod koniec XVII w. sławny hetman Pac, wznosząc w Wilnie jeden z najpiękniejszych kościołów w Europie (uczynił to na złość Sobieskiemu, aby zaćmić jego fundacje) umieścił na froncie napis:

„Regina Pacis funda nos in pace"

(Królowo Pokoju — albo Królowo Paców — zachowaj nas w pokoju).

Wewnątrz zaś kościoła umieścił obraz św. Magdaleny de Pazzis, którą uważał za swoją krewną.

Takie to były barokowe pojęcia „równości", strzeżono jej jednak jak oka w głowie. Wystarczyło więc dyssydentom podnieść krzyk, że Kawaleria N. M. P. zagraża swobodom szlacheckim, aby najlepsi nawet katolicy przyłączyli się do zwalczania projektu. Król z Ossolińskim i paru senatorami pozostał w osamotnieniu. Na „Rationes" Radziwiłła odpowiedział Ostroróg ulotką „Respons", ale niewiele tym osiągnął. Cała Rzeczpospolita zasypana była przeróżnymi pismami i paszkwilami przeciwko zakonowi. Jeden z najbardziej znanych nosi tytuł:



Mal. Rubens — WŁADYSŁAW WAZA

ECHO NA KAWALERY

Kogo to w długie ubierają kapy?
— Kpy...
Czego tak echo odpowiadasz głucho?
— W ucho...
Szeptasz, że mają uszy Midasowe?
— Owe...
Czego się boisz w głos zwierzyć sekretu?
— Na Was dekretu?
Niech ten głos będzie w ziemię zakopany.
I z pany...
Szkoda ich ziemi, kiedy ludzie głodni.
Szkodni.
Wżdyć to ci, co tu niebo rozdają — książęta.
— Kpy niebożęta
I nowe, słyszę Kawalery tworzą,
Już tchórzą,
Nie to nam książę z Ossolina twierdzi
Śmierdzi...
Nie ma się czego lękać w Opatowie.
A kto wie?
O co?, że Pana do złych rad przywodzi
I zwodzi...
Cóż by mu po tem? czego mu potrzeba?
Chleba.
Pono nad insze jest bardziej godzien.
Bo bardziej głodzien.
Co go za chciwość bezmierna napycha?
Niezmierna pycha.

Burza, która powstała na sejmie zmusiła króla (1638) podpisać skrypt, w którym słowem królewskim zaręczył, że orderów i Kawalerii bez pozwolenia Rzczypospolitej wprowadzać nie będzie. Dla oszczędzenia królowi wstydu, postanowiono nie wpisywać tego do konstytucji sejmowych. Uchwalono również zakaz używania tytułów (oprócz tych, które figurują w akcie Unii Lubelskiej).

Tak się zakończyła sprawa Kawalerii. Dziś i pamięć po orderze zaginęła.

Książka Sapiehy z 1633 r., zawierająca statuta jest dziś „białym krukiem". Kto wie, czy egzemplarz, znajdujący się w British Museum nie jest dziś jedynym na świecie (przed wojną miało tę rzadkość Ossolineum).

Przygotowane do uroczystości ordery rozdawał Władysław IV cudzoziemcom, w diariuszu bowiem posła weneckiego, Jana Tiepolo, jest wzmianka, że od króla otrzymał na pożegnanie „order Orła Białego"; był to niewątpliwie Order Niepokalanego Poczęcia, który z jednej strony miał postać Niepokalanej, z drugiej zaś Białego Orła.

Pozostał tylko wierny „Kawalerii N. M. P." Jerzy Ossoliński, który był pochowany w stroju kawalera Niepokalanego Poczęcia. Na głowie miał okrągłą czapeczkę z białego sukna, której wierzch lśnił promieniami złotymi, szaty polskie brunatnego koloru, długi płaszcz biały, srebrem haftowany i różowym jedwabiem podbity, na piersiach order Niepokalanego Poczęcia.

U stóp zaś tablica z napisem:

„Vixi, Domine, quia voluisti.
Morior, quia jussisti,
Suscita, quia debas,
Salva, quia vis et potes".

Przeciwnicy nie darowali jednak Ossolińskiemu nawet po śmierci, rozpowszechniając wierszyk:

„Legł Ossoliński, kanclerz, od wielkiej choroby,
Bo inna zmóc nie mogła tak wielkiej osoby...
...Śmierć twoja, wielki mężu, nie w smak wszystkim była —
Bo cię za późno zgładziła".

* * *

Minęło 320 lat od pielgrzymki Władysława Wazy. Drugi Korpus Polski, idący śladami Legionów Dąbrowskiego wkroczył do Loreto. Wspaniała bazylika, bombardowana przez lotnictwo niemieckie, stałaby się pastwą płomieni, gdyby nie odwaga i ofiarność polskich żołnierzy. Czyż właśnie teraz nie jest najodpowiedniejszy czas, by zrealizować myśl wielkiego króla i ustanowić order Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny?

Dziś, w dobie nadciągającej nowej burzy światowej, czyż nie powinny się zwracać nasze myśli ku N. M. P. Niepokalanego Poczęcia z błagalną prośbą

V I C I S T I — V I N C E.

Stanisław Janicki

*) Jak się później okazało, prawdopodobnie falsyfikat.

*) Dewizę tę przyjęło Koło Religijno-Rycerskie „Marianum".

BOŻOGROBCY Z MIECHOWA

KTO przed jesienią roku 1939 przejeżdżał przez Miechów, ten nie mógł nie zauważyć dominującej nad zabudowaniami miejskimi wieży, na której szczycie umieszczona była kula, zakończona patriarchalnym krzyżem.

Ten wspaniały zabytek architektury romańskiej zniszczony został podobno podczas ostatniej wojny.

Jak gdyby przytłoczony rozmiarami i okazałością tej wieży, stał obok kościół w stylu renesansowym. Dalej wznosił się obszerny budynek i parę baszt, świadczących mimo zniszczenia o niedawnej świetności jego dziedziców. Byli nimi Regularni Kanonicy Grobu Świętego.

Sprowadził ich i osiedlił w Miechowie w r. 1162 komes (comes) Jaxa Gryf, który rok przedtem wyprawił się ze swym hufcem do Ziemi Świętej, by bronić jej przed Saracenami, a złożywszy na Grobie świętym ślubowania, został przyjęty do rycerskiego zakonu tego imienia. Wedle kroniki Długosza miał on, powracając z tej wyprawy, zabrać ze sobą kilku regularnych kanoników, pełniących straż przy Grobie Świętym i osiedlił ich w Miechowie, gdzie wystawił dla nich kościół, pod budowę którego wysypać kazał wór ziemi, przywiezionej z Jerozolimy.

Do ostatnich czasów zachowała się romańska kaplica, wystawiona przez Jaxę, będąca wiernym naśladownictwem tej, w której mieścił się wówczas Grób Chrystusa Pana.

Biorąc przykład z czynów Jaxy Gryfity, nadał książę krakowski Bolesław Kędzierzawy klasztorowi w Miechowie liczne ziemie i przywileje, a Henryk V Śląski kazał w r. 1233 rozszerzyć kościół i wystawić powyżej wspomnianą wieżę. Wskutek tych nadań nie tylko polskich książąt i biskupów krakowskich, ale również papieży, Regularni Kanonicy z Miechowa, których potocznie nazywano Bożogrobcami, doszli już w XIII wieku do takiego znaczenia, że postanowili uniezależnić się od prowincji francuskiej w Perouse, której początkowo podlegali. Po pewnych staraniach otrzymali 17 lipca r. 1365 od patriarchy jerozolimskiego Filipa de Cabassolle uniezależnienie a w r. 1372 tytuł prepozytów generalnych — z tym, że prowincje: węgierska, czeska i niemiecka miały im od tego czasu podlegać, co zostało potwierdzone przez papieża Jana XXIII. Panadto otrzymali generalni prepozyci miechowscy w r. 1412 szereg przywilejów papieskich jak: prawo noszenia infuły i pastorału, tytuł „reverendissimus" i atrybut jeżdżenia sześciokonnym zaprzęgiem, co w ówczesnych czasach przysługiwało tylko biskupom.

Prepozyci miechowscy byli do roku 1567 wybierani przez konwent i zatwierdzani przez biskupów krakowskich, ku niezadowoleniu jednak tych ostatnich. Król Zygmunt August zastrzegł sobie prawo zatwierdzania również każdorazowego wyboru.

Zabezpieczając się przed kasatą prepozytury generalnej miechowskiej i jej dóbr na rzecz Zakonu św. Jana Jerozolimskiego, co właśnie w tym czasie stało się we Francji, uzyskał jej ówczesny przełożony Jan z Olkusza potwierdzenie dawnych przywilejów papieskich posiadania przez klasztor polskich Bożogrobców dóbr na Węgrzech, na Morawach, w Czechach i w Niemczech. Ponadto utworzył on w r. 1535 specjalny fundusz i klasę dla wydziału teologicznego przy Akademii Jagiellońskiej w Krakowie. Będąc zręcznymi politykami, a jednocześnie ludźmi światłymi, dbałymi o wzrost kultury narodowej, Bożogrobcy z Miechowa utrzymywali zarówno jak najlepsze stosunki z patriarchą jerozolimskim, rezydującym w Rzymie i składali sute ofiary na rzecz Bazyliki Grobu Św., jak i przyczyniali się w sposób wybitny do podniesienia świetności Rzeczypospolitej.

Prepozytura miechowska doszła do największego znaczenia za czasów Andrzeja Batorego, bratanka króla Stefana. On to nie tylko wzbogacił jej skarbiec, nie tylko sprowadził do Miechowa ciało św. Karola Boromeusza, ale także odbudował w sposób okazały tamtejszy kościół, spalony w r. 1595 przez nieuwagę mnicha Jankowskiego. Ponadto, jako zręczny dyplomata, zdołał zapobiec supremacji zakonu, grożącej mu ponownie ze strony Watykanu. Powołany w r. 1599 na tron arcybiskupa gnieźnieńsko- poznańskiego i Prymasa Polski, musiał Andrzej Batory zrzec się godności prepozyta miechowskiego.

Po ustąpieniu Andrzeja Batorego wybrano prezpozytem generalnym Mateusza Łubieńskiego. Pochodził on ze starożytnego rodu, wywodzącego się od Chebdów komesów (comesów) na Łubniach i Cieniach, herbu Pomian, który wydał szereg senatorów, w tym kilku arcybiskupów gnieźnieńskich.

Bardzo światły i bogaty rozszerzył on kościół i klasztor w Miechowie oraz wzbogacił bibliotekę, w rzadkie wówczas dzieła, które niestety spłonęły w czasie pożaru w r. 1745. Mateusz Łubieński był nie tylko jednym z najwybitniejszych prepozytów miechowskich, ale także wyróżnił się później wśród prymasów Polski.

Jego następcy, Arkadiusz Grochowski, biskup łucki od r. 1632 oraz Samuel Nakielski, znany historyk, który napisał szereg dzieł z zakresu dziejów Kościoła w Polsce, a wśród nich historię Zakonu Grobu Świętego (rok 1625), Jan Gembicki, sekretarz króla Władysława IV i biskup chełmiński, Albert Koryciński, późniejszy arcybiskup lwowski, jego bratanek Piotr Koryciński i Michał Radziejowski, prymas Polski od r. 1680, nie tylko przyczynili się do podniesienia znaczenia Rzeczypospolitej, ale także do rozwoju jej kultury w XVII i XVIII stuleciu. —

Byli to wszystko ludzie, których wpływy sięgały poza własny kraj i prowincję z którymi liczyli się nie tylko królowie i biskupi polscy oraz wyższe sfery narodowe, ale z którymi liczono się poza granicami kraju, łącznie ze Stolicą Apostolską.

Istnieje monografia Bożogrobców miechowskich, napisana w r. 1891 przez Władysława Łuszkiewicza, dyrektora Muzeum Narodowego i członka Akademii Umiejętności, omawiająca dokładnie dzieje tego Zakonu. W niej przedstawia autor wybitną rolę, jaką w wieku oświecenia i później odegrał klasztor w Akademii Jagiellońskiej.

Kiedy inne prowincje dawno już przestały istnieć lub też istniejąc nie posiadały żadnego znaczenia, prowincja generalna miechowska znajdowała się w pełnym rozkwicie do tego stopnia nawet, że nienależące do niej zagraniczne klasztory same się jej dobrowolnie podporządkowywały. I tak za prepozytury Piotra Korycińskiego (1677—1680) przybyła do Miechowa delegacja kanoników Grobu Św. z Niderlandów, by złożyć mu hołd i zaznaczyć swą podległość względem polskich prepozytów. Pragnąc uniezależnić się od władzy królewskiej i biskupów krakowskich, uzyskali kanonicy regularni miechowscy w r. 1725 bullę papieża Benedykta XIII, zwalniającą od obowiązku zatwierdzania ich wyboru przez króla. Stało się to za prepozytury Jacka Radlińskiego. Był to jednak ostatni ich sukces, wkrótce bowiem nastąpił upadek Rzeczypospolitej, a z nią upadek regularnych kanoników Grobu Świętego.

Ostatni prepozyt generalny miechowski, Tomasz Nowiński zdołał jeszcze odnowić kościół w Miechowie, jednak na skutek kasaty klasztoru i dóbr polskich Bożogrobców przez cara Aleksandra I w r. 1819 musiał ustąpić. Była to niestety, w całym tego słowa znaczeniu, fatalna pomyłka Watykanu, który uległ nieopatrznie wpływom rosyjskim, dążącym zawsze do zniszczenia wszelkich ośrodków polskiej kultury narodowej. Papież Pius VII bullą z 30 czerwca 1818 r. upoważnił cara Aleksandra I, jako króla polskiego (— na mocy postanowienia Kongresu Wiedeńskiego) do kasacji jednego z zakonów, znajdujących się na obszarze Królestwa Kongresowego. Wykorzystując to upoważnienie, skasował on Regularnych Kanoników Grobu Świętego w Polsce wraz z ich majątkiem. Zorientowawszy się po niewczasie, papież polecił ówczesnemu arcybiskupowi warszawskiemu przeprowadzić restytucję Zakonu, niestety jednak rząd carski nie zmienił swej decyzji, wobec cze-

(Dokończenie na str. 8-ej)

JAN WEPSIĘĆ

POGADANKI HISTORYCZNO-FILOZOFICZNE

EMPIRYZM ANGIELSKIEGO OŚWIECENIA

Cechą istotną filozofii angielskiego Oświecenia, szczególnie w okresie jego powstawania i rozkwitu, jest zwrócenie uwagi głównie na zagadnienie pochodzenia naszego poznania i rozwiązywanie tego zagadnienia w tym kierunku, że źródłem naszego poznania jest doświadczenie, tj. przekonanie, że bez udziału zmysłów nie powstałaby w ogóle ludzka wiedza. Taki pogląd nosi w filozofii nazwę empiryzmu. Jego twórcą na nowych podstawach był w dobie Oświecenia John Locke (1632 — 1704).

Filozof ten odrzucił pogląd, wyznawany przez myślicieli w. XVII, jak np. Kartezjusza, że umysł ludzki posiada wrodzone idee czy dyspozycje do ich tworzenia, a stworzył własny pogląd, polegający na tym, że pojął umysł ludzki jako coś, co powstaje dzięki temu, że człowiek widzi, słyszy itd., tj. że posiada zmysły. Jest to problem genezy (pochodzenia) wiedzy, rozpatrywany od strony psychologicznej, tj. od strony procesów, jakię dokonywują się zanim powstanie to, co nazywamy poznaniem, wiedzą. Empiryzm miał już długą historię w filozofii, ale analiza tego problemu od strony psychologicznej była czymś nowym i dlatego przyglądnijmy się jej bliżej.

Umysł ludzki, według Locke'a, pozbawiony pojęć wrodzonych, zanim zdobędzie jakąkolwiek wiedzę, jest podobny do niezapisanej tablicy. Wiedzę, którą — żeby powiedzieć obrazowo — zapisujemy na tablicy umysłu, zdobywamy przez doświadczenie, które zachodzi na dwu drogach: przez doświadczenie rzeczy zewnętrznych, tj. przez postrzeżenia (sensations) i doświadczenie samego siebie przez refleksję (reflexion). Postrzeganie świata zewnętrznego zachodzi wcześniej przed refleksją, która zaczyna działać dopiero wtedy, gdy otrzyma materiał przez dokonane postrzeganie świata zewnętrznego.

Wszystko, cokolwiek znajduje się w umyśle, a więc postrzeżenia, doświadczenia wewnętrzne, tzw. wyobrażenia fantazji — określa Locke mianem idei. Tylko idee są tym, co znamy bezpośrednio. Rzeczy nie znamy już w ten bezpośredni sposób.

Idee nie są jednego rodzaju. Locke wyróżniał kilka ich rodzajów. Ze względu na stosunek idei do rzeczy Locke wyróżniał takie idee, które odpowiadają pierwotnym, czyli jak je nazywał, obiektywnym własnościom rzeczy, np. rozciągłość, kształt, ruch i takie, które są odpowiednikami wtórnych czyli subiektywnych własności rzeczy, np. barwy, smaki, dźwięki. Nie jesteśmy w stanie oddzielić własności pierwotnych od samych rzeczy, natomiast bez własności wtórnych rzeczy mogą istnieć. Własności wtórne są jedynie wywoływane działaniem własności pierwotnych rzeczy na narządy naszego ciała. To rozróżnienie Locke popierał tym, że istnienie jakości pierwotnych jest potwierdzane przez różne zmysły, natomiast o własnościach wtórnych, np. barwie czy smaku informuje nas tylko jakiś jeden zmysł, np. wzrok czy smak.

Powyższy podział nie jest jedyny. Locke przeprowadza także i inny podział, gdzie za podstawę bierze to, czy idea pochodzi wyłącznie z doświadczenia, jak idee proste, czy powstaje przez łączenie idei, jak idee złożone. Sposób powstania nie jest tu jedyną różnicą. Idee złożone na skutek łączenia mogą zawierać element dowolności i błędu.

Takimi ideami złożonymi jest np. idea substancji, stosunku itd. Ale skoro wymieniliśmy te dwa przykłady idei złożonych, nasuwa się pytanie, jaką rolę odgrywa w naszym poznaniu idea substancji, jeśli — powiedzieliśmy to wyżej — doświadczenie dotyczy tylko własności, a nie obejmuje istoty rzeczy, tj. substancji. Idea substancji jest ideą złożoną, nie prostą i nie pochodzi z doświadczenia. Jest skonstruowana przez umysł i powstaje dlatego, iż umysł nie może pojąć własności bez czegoś trwałego, do czego byłyby — żeby tak obrazowo powiedzieć — przywiązane. Substancja jest więc czymś w rodzaju podpory, którą umysł podsuwa pod własności. Innymi słowy można powiedzieć, że umysł ludzki jest tak zbudowany, iż nie może obejść się bez pojęcia substancji. Czyżby więc Locke zaprzeczał jedynie substancji? Nie. Zaprzeczał jedynie, by można ją było poznać.

* * *

Jeśli Locke zastanawiał się, czy substacja jest poznawalna, to nieco młodszy od niego biskup anglikański George Berkeley (1685 — 1753) poszedł dalej i zaprzeczył istnieniu substancji.

Odnośnie własności Berkeley w przeciwieństwie do Locke'a dowodził, że istnieje tylko jeden ich rodzaj. Są to własności subiektywne. Istnieją one tylko wtedy, kiedy są postrzegane. Jeśli przyjmie się, że nie ma substancji, jeśli dowodzi się, że przedmiotem naszych postrzeżeń są własności subiektywne, to w konsekwencji dochodzi się do wniosku, — jak Berkeley — że świat składa się z postrzeżeń. W takiej sytuacji istnienie wyczerpuje się w postrzeganiu. Berkeley wyrażał to w łacińskim zwrocie: „esse percipi", co tłumaczy się: „być, to znaczy być postrzeganym".

Dla Berkeleya dowodzącego słuszności powyższego twierdzenia było w konsekwencji jasne, że trzeba wyjaśnić naszę przeświadczenie o jedności i trwałości rzeczy. Berkeley dowodził, że postrzeżenia są postrzeżeniami i ludzi i Boga i jako Boże postrzeżenia istnieją bez przerw.

* * *

W atmosferze empiryzmu angielskiego wyrósł również system Dawida Hume'a (1711 —1776). Stanowisko Hume'a, że przedmiotem poznania są nie rzeczy ale przedstawienia, zbliża tego myśliciela do Locke'a i Berkeleya.

Hume, przystępując do analizy wiedzy rozróżnia wśród postrzeżeń dwa rodzaje: postrzeżenia pierwotne, tj. wrażenia (impressions) i idee (ideas), które pochodzą z wrażeń i są już czymś wtórnym. Powstawanie idej z wrażeń nie jest procesem dowolnym, lecz dokonywuje się według praw kojarzenia, których określeniu Hume poświęcił wiele uwagi.

Gdy zaś chodzi o przedmiot badania, to są dwa rodzaje: fakty (matters of facts), którymi interesują się nauki przyrodnicze, i stosunki między ideami (relations of ideas), jak matematyka. Matematyka dochodzi do prawd koniecznych i oczywistych, lecz nie dochodzą do nich nauki przyrodnicze.

Nauki przyrodnicze nie trzymają się jednak tylko faktów stwierdzonych, lecz wychodzą poza tę granicę, tj. poza świadectwo zmysłów i wnioskują na podstawie jakiegoś stwierdzonego faktu o innym jeszcze niestwierdzonym, czyli zakładają istnienie jakichś stałych niezawodnych związków między faktami. Jednym z takich związków jest związek przyczynowy.

Zasługą Hume'a jest, że postawił pytanie, skąd wiemy o istnieniu konieczności, która jest istotą związku przyczynowego. Zdaniem Hume'a nie poznajemy jej ani a priori, tj. przez analizę pojęcia przyczynowości ani na drodze doświadczalnej, tj. a posteriori. W doświadczeniu stwierdzamy jedynie następstwo, ale nigdy konieczności, że jeden fakt musi wyniknąć z drugiego. Lepiej zilustrować to na przykładzie. Jeśli naciśniemy język spustowy karabinu, to następnym faktem, który stwierdzamy, jest wystrzał. Stwierdzamy tylko następstwo, nie stwierdzamy konieczności. Jeśli tak jest, to dlaczego sądzimy, że między tymi dwoma faktami istnieje związek konieczności? Hume żył w epoce interesującej się problemem psychologii poznania. Powstanie pojęcia przyczynowości wyjaśniał psychologicznie. Pojęcie to powstaje na skutek przyzwyczajenia. Człowiek, opierając się na zebranym doświadczeniu, przyzwyczaja się do związku następstwa i doświadczenie następstwa przenosi na przyszłość. Powstanie więc pojęcia przyczynowości można krótko tak wyjaśnić: wskutek powtarzania się pewnych związków w rezultacie przyzwyczajenia a nie na podstawie rozumowania przenosimy te związki na przyszłość. Pamiętamy, że Locke pojęcie substancji uzasadniał naturalną konstrukcją rozumu. Hume zaś pojęcie przyczynowości wywodził z pewnej właściwości ludzkiej, którą nazywał instynktem. Jeśli pojęcie przyczynowości powstaje nie na drodze rozumowania, to przez wprowadzenie tego pojęcia wiedza wychodzi poza granice doświadczenia.

Jak Locke tak i Hume poddał krytyce pojęcie substancji. Wykazywał — podobnie jak w odniesieniu do pojęcia przyczynowości, że nie można go uzasadnić ani a priori ani a posteriori, i że źródłem tego pojęcia jest wyobraźnia i instynkt a nie rozum i doświadczenie.

Jakie są konsekwencje krytyki pojęć: przyczynowości, substancji i siły przez Hume'a? Oto takie, że wiedza, która wykracza poza fakty, podlega zakwestionowaniu. Innymi słowy można to wyrazić tak: doświadczenie jest wiedzą tak długo, jak długo trzyma się faktów. W wyniku krytyki Hume'a zostały tylko dwa rodzaje wiedzy: wiedza o stosunkach między ideami, jak matematyka i wiedza o faktach, jak nauki przyrodnicze.

Hume był ostatnim wielkim empirykiem angielskim XVIII stulecia, który poddając krytyce podstawy empiryzmu, przygotował grunt pod naukę Kanta.

* * *

Empiryzm był główną dziedziną filozofii angielskiego Oświecenia, ale nie jedyną. Równolegle z empiryzmem a z upływem wieku coraz silniej rozwijała się filozofia społeczna. Jej elementy znajdujemy już w filozofii Locke'a, ale o pełniejsze systemy pokusił się dopiero Shaftesbury (1671 — 1713), F. Hutcheson (1694—1746) i D. Hartley (1705 — 1757).

Ogół angielskich systemów filozoficzno-społecznych tego wieku można zaliczyć do jednej z dwu grup: 1) entuzjastów z Shaftesbury i Hartley'em i 2) hedonistów — z Hutchesonem. Entuzjaści uważali sympatię za jedną z naturalnych pobudek postępowania ludzkiego. Hedoniści zaś za taką pobudkę uważali interes osobisty. W umysłowości angielskiej zyskała przewagę filozofia, zwana przez nas hedonistyczną. Kierunek ten nazywa się powszechnie utylitarystycznym i tą nazwą będziemy posługiwać się.

Szkoła utylitarystów wywodziła się z nauki Hobbesa. Problemem, jaki stanął przed utylitarystami, było pogodzenie zasady, że pobudką działania jednostek jest interes osobisty z postulatem dobra społecznego. Jedni usiłowali uzyskać tę zgodę, wprowadzając zasadę „naturalnej tożsamości interesów", tj. wyjaśniając, że przeciwieństwa interesów jednostki i społeczeństwa wyrównują się w sposób naturalny bez żadnej interwencji, inni przyjmowali zasadę „sztucznej tożsamości interesów", tj. dowodzili, że przeciwieństwo interesów jednostki i społeczeństwa winno być usuwane przez rządy na drodze ustawodawczej. Utylitaryści musieli szukać tego pogodzenia, bo musieli w jakiś sposób wyjaśnić fakt, że — mimo egoistycznych dążeń jednostek — społeczeństwa istnieją i rozwijają się.

Trzeba dodać, że dobro społeczne było wówczas synonimem szczęścia, przez które rozumiano przyjemności, których odpowiednikiem są korzyści.

Spośród wielu teorii filozoficzno-społecznych jedna zasługuje na wyróżnienie ze względu na wpływ, jaki wywarła na kulturę zachodnio-europejską. Mam na myśli teorię ekonomii politycznej A. Smitha (1723 — 1790), który, stosując zasady utylitaryzmu, wykazywał jak podział pracy i wymiana uzgadniają egoizmy. Miarę wartości rzeczy stanowi trud włożony w ich wykonanie. Wymiana — to wymiana trudu (wyżej określonego) na przyjemność. Smith sądził, że harmonia egoizmów wyrównuje się samorzutnie, bez interwencji. Zasadami teorii Smitha wyjaśniano życie gospodarcze aż po czasy nam współczesne.

* * *

Reakcją na filozofię Oświecenia była filozofia tzw. szkockiej szkoły. Jej twórca, T. Reid (1710 — 1796) jako i inni należący do tej szkoły, jak T. Brown (1778 — 1820) głosili „filozofię zdrowego rozsądku", tj. przyjmowali istnienie prawd pewnych, choć nieudowodnionych. Umysł zna je nie z doświadczenia ale sam ze siebie. Stanowią one przesłanki myślenia. Są powszechnie uznawane. Reid dowodził, że wiedza faktyczna opiera się na dwu takich przesłankach: 1) że istnieje dusza (jaźń), 2) że istnieją rzeczy realne.

Filozofowie szkoccy próbowali zawrócić filozofię z dróg, na które wprowadzili ją Berkeley i Hume.

* * *

Gdybyśmy na zakończenie chcieli krótko ująć istotę osiągnięć filozofii angielskiego Oświecenia, moglibyśmy powiedzieć, że pogłębiła i poszerzyła teorię empiryzmu, poddała krytyce jego założenia, a w dziedzinie filozofii społecznej stworzyła teorię utylitaryzmu, która miała pogodzić egoizm jednostek z dobrem społeczeństwa.

Jan Wepsięć

SPRAWY WIĘKSZE I MNIEJSZE

HISTORYCZNE ODKRYCIA W POLSCE

Prowadzone od kilku miesięcy na terenie zniszczonego przez Niemców Zamku Królewskiego w Krakowie na Wawelu badania architektoniczne dały ciekawe rezultaty. Odkryto mianowicie wartościowe mury gotyckie z wieku XIV, jak również zabytkowe okna, rzeźbione w granicie. W innych częściach Zamku odsłonięto rzeźby i łuki, pochodzące z różnych wieków.

Najbardziej jednak ciekawe badania prowadzi się na Śląsku, gdzie natrafiono na ślad osady wiejskiej z przed 2.500 lat, położonej pod dziesięciostopową warstwą ziemi w miasteczku Niemcza. Próbne kopania wykazały, że na terenie miasteczka i w jego okolicy znajdowała się przed 25 wiekami wielka osada słowiańska, rozrzucona na wielkiej przestrzeni. W środku tej osady, jak wskazują fragmenty ceramiki i resztki polep glinianych, wznosiła się obronna twierdza. W innym miejscu — pod starożytnym kościołem — zniszczonym w roku 1858, natrafiono na resztki budowli kamiennych, zasypanych ośmiostopowym zwałem gruzów. I ta osada pochodzi sprzed dwóch tysięcy lat. Prace wykopaliskowe powierzono Helenie i Włodzimierzowi Hołubowiczom, specjalistom prehistorycznych wykopalisk.

Również w okolicach Warszawy prowadzi się poważne wykopaliska, zwłaszcza we wsi Bródno Stare, gdzie natrafiono na stare grodziska z wieku X i XI. W roku bieżącym usunięto warstwę ziemi, pokrywającą dawny gród i odsłonięto bramę drewnianą, prowadzącą do grodu. Znaleziono także dębowe skrzynie z resztkami orzechów, prosa, jęczmienia i innych nasion. Z wstępnych badań wnioskuje się, że osada położona była na cyplu nieistniejącej już dziś rzeki. Zajmowała ona rozległy teren wzdłuż koryta rzecznego. Rozplanowana była w trzech łukach. Zewnętrzny obejmował pola uprawne, środkowy posiadał rękodzielnictwo, a wewnętrzny służył jako twierdza przeciw napadom wrogich plemion. Wykopaliska warszawskie mają duże znaczenie historyczne, gdyż należą do najstarszych i najlepiej zachowanych słowiańskich osad w okolicach Warszawy. (IC).

ILE KOSZTUJE PRODUKCJA FILMU?

Długometrażowy (czyli normalny) film brytyjski kosztował średnio przed 1939 r. — 30.000 funtów, obecnie kosztuje £ 200.000.

Z tego koszt scenariusza wynosi — — £ 15.000
aktorzy — 40.000
pracownicy techniczni 30.000
kostiumy — 8.000
dekoracje — 40.000
laboratoria fotograf. 6.000
inne (podatki itd.) — reszta.

Skąd się biorą na to pieniądze?

— 75 proc. pożyczka z banku; 25 proc. własne pieniądze producenta (raczej wielu udziałowców).

Czy można wyprodukować film bez pieniędzy? — Są filmy, które do 90 proc. pokrycia mogą dostać jako pożyczkę zwrotną z National Film Finance, założonego w kwietniu 1949 r.

Są to pieniądze rządowe, z których wydatkowano 4 i pół miliona funtów na ogólną sumę 5 milionów funtów. Normalnie udzielane są sumy mniejsze. Dotychczas korzystało z tej kasy 63 filmów.

KOMEDYJKA TEŻ NIE TANIA

Najtańsza komedyjka rysunkowa, wyświetlana około 10 minut, kosztuje około 6.000 funtów, wymaga pracy 6 miesięcy i zespołu 25 rysowników.

Na jeden prosty ruch potrzeba 20 rysunków, całość ok. 10.000 rysunków.

PEŁNOMETRAŻOWY FILM KUKIEŁKOWY

W studio Egham koło Windsoru wykonywany jest obecnie pierwszy długometrażowy film kukiełkowy (laleczki, grające rolę artystów). Czas trwania tego filmu: 1 godzina i 10 minut.

Koszt £ 100.000, prace przy wykonaniu — 2½ roku. Sto tysięcy to nie tak drogo. Disney'owska „Królewna Śnieżka" kosztowała (film rysunkowy) o wiele więcej. Czas roboty jednej kukiełki wyniósł 10 dni, koszt jej między £ 50 a £ 100.

Gra twarzy figurki uzyskiwana jest przez nakładanie odpowiednich masek, wypada ich na jedną kukiełkę ok. 80. Na jedną sekundę wyświetlania musi być wykonanych 24 oddzielnych fotografii.

STATYŚCI

Dziennie statysta filmowy zarabia £ 2.2.0. Otrzymuje jednak dodatki. Gdy powie np. 10 słów ma 10 szyl. więcej, 20 słów — 1 funta itd. aż do 5 funtów i 5 szyl.

Za mówienie w obcym języku 100 proc. dodatku. Godzina dodatkowa „overtime" 5 szyl., w święta podwójnie. Statyści należą do Związku Artystów Filmowych.

S. Leg.

CIOSY I UNIKI

Teatr polski na obczyźnie usnął na dobre. Błahe dwu lub trzyosobowe komedyjki oczywiście nie mają wiele wspólnego z apostolstwem sztuki i „żywego słowa", lecz są po prostu sposobem zarobkowania grupki aktorów.

Teatr im. Słowackiego, na który obrócone są oczy emigracji, po „Krokach na schodach" i „Myszy kościelnej" drzemie znowu. O klasycznym repertuarze nawet już nikt nie marzy. Młodzi pisarze dramatyczni ciągle coś zapowiadają, ale zdanie „Napisałem nową sztukę" brzmi w ich ustach tak, jak „Dzień dobry" w języku zwykłych śmiertelników.

* * *

Bronisław Przyłuski jest ostatnim na emigracji pisarzem z wiarą i entuzjazmem. Upartym wysiłkiem organizuje amatorskie czytanie swej uroczej „Pastorałki małoszowskiej". Radzę wszystkim Polakom na Wyspie przy choince przeczytać własny egzemplarz „Pastorałki".

* * *

Scenka kawiarniana staje się coraz wyraźniej ulubioną formą emigracyjnego kontaktu ze sztuką. Walną przyczyną tej sympatii jest duża ilość pieśniarek i pieśniarzy polskich na obczyźnie. Oto ich lista z terenu W. Brytanii: Jadwiga Czerwińska, Nina Grudzińska, Ada Iwanowska, Janina Jasińska, Danuta Karell, Helena Kitajewicz, Tola Korian, Włada Majewska, Nina Oleńska, Wanda Ożga, Lucyna Szczepańska, Zofia Terne, Wanda Wtórzecka. To chyba już wszystkie panie. We Francji zbiera laury nieporównana Weronika Ignatowicz.

Krótsza — nawet przy pewnym liberaliźmie klasyfikacji — jest lista emigracyjnych pieśniarzy: Gwido Borucki, Wacław Krajewski, Jan Markowski, Ref-Ren i St. Ruszała. Przepadł gdzieś Pręgowski. Nowakowski, to już Brytyjczyk z profesji, a Prokopieni dalej gdzieś wojuje w egzotycznych krajach.

W Argentynie pozatem pora się z klimatem i lekką muzą Krukowski w otoczeniu swych gwiazdek rewiowych.

* * *

Znanych pisarzy polskich pogubiło się po świecie niemało. Większość z nich milczy prawie zupełnie. W Kanadzie żyją Michał Choromański i Rafał Malczewski, w Stanach Zjednoczonych Józef Wittlin i Jan Lechoń, w Meksyku Teodor Parnicki, w Urugwaju Czesław Straszewicz („Gromy z jasnego nieba"), we Francji Stanisław Vincenz, a w Londynie Jerzy Pietrkiewicz, nie biorący żadnego udziału w polskim życiu literackim.

Nie widać niestety zbyt wielkiego dopływu młodych piór. Świetnie się zapowiadający Czesław Bobkowski puszcza szybowce po Wenezueli. Z Libanu przybył niedawno do Londynu Michał Sambor. Jest to pisarz pokroju intelektualnego, o dużej pasji satyrycznej, obdarzony zmysłem społecznym, b. więzień sowieckich łagrów, a przy tym wszystkim pisarz katolicki. Jest to więc w sumie wielka nadzieja krytyki literacko - społecznej.

W zeszycie październikowym „Kultury" ogłosił Sambor rozprawkę pt „Coś dobrego o Sowietach", w której wykazał obok walorów literackich dużą odwagę myślenia i sprawiedliwość sądu.

* * *

Pewien jeszcze nienagrodzony wybitny pisarz tak mówił niedawno o nagrodzonym wybitnym pisarzu polskim: „Jest to Szaweł emigracyjnego pisarstwa, każący myśleć o porównaniu z Koestlerem czy Silone,... wstępował w ślady Żeromskiego i Struga,... prozę jego porównać można do rysunków Van Gogha..."

Naszym zdaniem, gdyby św. Augustyn, Szekspir i Cervantes mogli się połączyć w jednej osobie z Rafaelem i Giottem, wówczas mielibyśmy klasyczny okaz młodego laureata emigracyjnego.

* * *

Nareszcie atrakcja! Bieżący numer „Gazety Literackiej" wydrukowany jest na papierze kolorowym. Może wreszcie nieubłagani jej przeciwnicy kupią po egzemplarzu, aby wystrzyc sobie trochę ozdóbek na drzewko. Trzy pensy na ozdóbki zapewne o wiele mniej żal będzie wydać, niż na gazetę.

Do tej kolorowości niestety zmuszają nas trudności papierowe na rynku brytyjskim.

J. B.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

PROŚBA

Dobry Boże, nie dozwól mi umrzeć
na tej ziemi obcej, która boli —
tylko spraw, aby moją trumnę
przygarnęły do serca brzozy.

To jest drzewo mojego dzieciństwa,
to jest drzewo młodości mej smutnej —
i dlatego chcę, by w jego liściach
Anioł śmierci mnie na wieczność utulił.

Przeto spraw, by jesienią na grób mój
złote liście brzóz wiatr nawiewał,
aby one mi śpiewały cichutko
Ziemi mojej najprostszy poemat.

Józefa Radzymińska

Buenos Aires, październik 1950.

POLACY W SZKOCJI JAKO TEMAT TEZY DYPLOMOWEJ

Do jednego z członków Komitetu Wykonawczego Rady Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu zwróciła się o pomoc w zbieraniu materiału pewna studentka uniwersytetu edynburskiego — Szkotka, która jako tezę dyplomową wybrała temat: „Polish Immigration into Scotland since 1945".

Temat ma objąć również tych Polaków, którzy przybyli do Szkocji wcześniej, t.j. po klęsce Francji.

Biuletyn Informacyjny, wychodzący w Edynburgu, podając tę wiadomość, zwraca się do wszystkich, którzy posiadaliby odpowiednie materiały, o skomunikowanie się z mec. T. Baykowskim w Domu Kombatanta 11, Drummond Place.

ROMAN STEFANOWSKI

WIELKIE POSTACIE ANGIELSKIEJ LITERATURY

CHARLES KINGSLEY

(1819—1875)

Charles Kingsley nie jest bynajmniej największym z pisarzy angielskich dziewiętnastego wieku, ale dzięki swoim rozległym zainteresowaniom i swojej działalności, tak społecznej jak i w zakresie literatury, zyskał w pierwszym wypadku poważanie a w drugim poczytność i sławę.

Zostawiając na później szczegóły biograficzne trzeba tylko powiedzieć, że ojciec Kingsley'a był pastorem — ten napozór nieważny fakt miał duże znaczenie. Kapłaństwo w owym czasie, w sferach ewangelickich, było omalże dziedziczne. Nic więc dziwnego, że Kingsley z King's College (Londyn), gdzie zaczął uczęszczać, kiedy ojciec jego dostał probostwo św. Łukasza (Chelsea), przeniósł się do Magdalene College (Cambridge) w 1838 r. a w 1842 r. już po święceniach zostaje wysłany na probostwo Eversley w Hampshire.

W dwa lata później żeni się z Fanny Grenfell i prowadzi ustatkowany i poważny tryb życia, na razie wyładowując się tylko w gorących i patetycznych kazaniach, których bodajże dwa tomy zostały później wydane. Ale temu okresowi jego twórczości nie należy poświęcać dużo miejsca. Kingsley wówczas pochłonięty jest teologią.

Urodził się w parafii Holne w północnym Devonie, lata dziecinne spędził w Barnack i Clovelly — bardzo mu utkwiła w pamięci przyroda tych okolic, bo często ją później opisuje.

Pierwszym utworem Kingsley'a jest dramat „The Saint's Tragedy", wyd. 1848. Nie ma w nim nic epokowego i nawet nic niezwykłego.

Maurice, który napisał wstęp do dramatu Kingsleya był duchowym i faktycznym przywódcą chrześcijańskiego socjalizmu, w którym to ruchu dużą rolę odegrał również Kingsley.

Z współpracy z człowiekiem nieprzeciętnego pokroju i pod wpływem pism Carlyle'a wyrosła pierwsza faza twórczości Kingsley'a. Twórczość jego jest trój-kierunkowa (odrzucając rozprawy teologiczne, kazania, prace z zakresu historii naturalnej i wykłady uniwersyteckie):

1. Książki o podłożu społecznym.
2. Oparte na tematyce historycznej.
3. Dla dzieci.

Myślę, że wystarczy przytoczyć i w skrócie omówić odpowiednie książki, które charakteryzują dany kierunek.

Chronologicznie idą „Yeast", wyd. 1848 i „Alton Locke", wyd. 1850. By zrozumieć atmosferę tych książek, trzeba pokrótce omówić ich podłoże. W ciągu panowania Jerzego III (1760 — 1820) ludność Anglii wzrosła prawie że dwukrotnie. Ludzi tych trzeba było wyżywić, podczas gdy import produktów spożywczych z zagranicy, nie będąc racjonalnie zorganizowany, był minimalny. Nasunęło się tylko jedno konsekwentne rozwiązanie — podnieść produkcję rolniczą. To zostało osiągnięte przez zastosowanie ulepszonych metod uprawy roli. Powstaje wtedy nowy typ rolnika-dzierżawcy, który mając gospodarstwo bardziej rozległe, tym samym wypierał drobnego rolnika. Ten ostatni zostaje na farmie jako zwykły robotnik lub idzie „na zarobek" do miasta.

Pamiętać należy, że w mieście był popyt na robotnika, gdyż po wojnach napoleońskich nastała rewolucja przemysłowa. Warunki w mieście były bardzo złe, zarobki jeszcze gorsze. Wytworzyła się zbyt wielka i niezdrowa konkurencja, co obniżało zarobki i pozwalało na traktowanie robotnika tylko jako przedmiotu użyteczności.

Związki zawodowe albo nie istniały albo były nielegalne, nie było przeto nikogo, kto by stanął w obronie robotnika. Nikogo — z urzędu. Robotnika wzięli w obronę pisarze, intelektualiści, reformatorzy — humaniści. I tutaj wkraczamy w działalność Kingsley'a.

Alton Locke pochodził z bardzo ubogiej rodziny. Ojca nie pamiętał, wiedział tylko, że był sklepikarzem i umierając zostawił rodzinę w nędzy. Matka robiła co mogła by utrzymać jego i młodszą siostrę Susan, przy skąpej pomocy brata swego męża, który wprawdzie też zaczął od małego sklepiku, ale „porósł w piórka" i mógł sobie nawet pozwolić na posłanie swego syna do Cambridge, podówczas jedyny skuteczny sposób, by ze syna sklepikarza zrobić gentelmana.

Młody Alton wychowywał się w atmosferze kochającej, ale fanatycznej anabaptystki. Należała do skrajnej sekty, skłaniającej się ku antynomianizmowi.*) Alton był skłonny myśleć samodzielnie — i to wkrótce przyśpieszyło zerwanie. Bolesne — ale z jego punktu widzenia nieodzowne.

Pewnego razu p. Locke zaprosiła dwóch miejscowych księży, razem z pewnym misjonarzem na herbatę. Wtedy to Alton, podświadomie, zerwał z religią fanatycznej matki.

Mr. Bowyer był starym dobrodusznym człowiekiem, który odrazu pozyskał sobie sympatię Altona i jego siostry Susan. Mr. Wigginton, młody ale ponury, z niskim czołem i stentorowym głosem — antypatyczny fanatyk, który później przyczynił się do zerwania Altona z matką. Nareszcie misjonarz, czerwony, pulchny, żarłoczny, obwisłe wargi i lisi wyraz twarzy — przeciwieństwo misjonarza wyimaginowanego w fantazji Altona. Rozmowa oczywiście zaczęła się od misjonarza. Opowiadał, jak mu się dobrze powodzi, jaki ma duży dom i jakie otaczają go zaszczyty. Swoich katechumenów traktował niczym plantator swoich niewolników. A wszystko to przeplatane pobożnymi westchnieniami i cytatami z Biblii. Na resztę konwersacji złożyły się wymyślania na Church of England.

Niedługo po tym wypadku Alton posłany został do warsztatu krawieckiego i tak zaczął się dla niego bieg szarego, robotniczego, dwunastogodzinnego dnia.

Przechodząc z pracy do domu mijał antykwariat starego, dobrodusznego a napozór opryskliwego Szkota Sandy Mackaye. Zaczęła się przyjaźń i nauka. Kiedy matka zaprotestowała przeciwko czytaniu pogańskiego Wergiliego, co w jej purytańskim przekonaniu było największą zbrodnią, Alton przeniósł się do starego Szkota, który teraz został jego nauczycielem.

Alton robi szybkie postępy w nauce, opanowuje fach krawiecki i interesuje się ruchem społecznym, z którym zapoznaje go czeladnik John Crossthawite. Zaczyna pisać wiersze.

Raz, będąc w National Gallery, zwrócił na siebie uwagę pewnego dziekana i jego dwóch siostrzenic, z których jedna Lillian wzbudziła w nim gorętsze uczucie. Dziekan, człowiek dobry, kulturalny i rozumny, pomaga Altonowi radą, ostrzega przed zbytnim rozgoryczeniem na klasę posiadającą i nawet pomaga mu w wydaniu tomika jego wierszy.

Alton angażuje się w ruchu Chartis.ów**), a gdy jest przyciśnięty finansowo, pisze do niejsc.w go brukowca „Weekly Warhoop", wydawanego przez fanatyka-szubrawca O'Flynna, którego jedyną bronią jest potwarz i paszkwil.

Potem przygody w Cambridge, sąd, uniewinnienie i znów praca. A wszystko na tle beznadziejnych warunków hygienicznych w warsztatach pracy, wyzysku, niewolnictwa i nędzy. Książka ta jest autobiografią. Alton pisze ją na okręcie. Jest to jego pierwszy urlop w życiu, ufundowany przez Lady Ellerton, jedną z siostrzenic dziekana. Niestety zniszczony gruźlicą umiera, napisawszy ostatnie słowo ostatniego rozdziału — żywy pomnik niesprawiedliwości swojej epoki.

Kingsley uwydatnia całą beznadziejność życia szarego człowieka, jego walkę o byt, jego niewolnictwo, cały fatalizm, a przede wszystkim niemożność otrząśnięcia się z narzuconych przez wyzyskujących pracodawców warunków. Kingsley oburza się, współczuje, wiernie oddaje ich krzywdę, wstawia się za nimi, ale między wierszami widać, że nie dąży do radykalnej zmiany, chce tylko poprawy.

Drugi typ twórczości Kingsley'a oparty jest na tematyce historycznej. Kingsley jest pierwszym autorem, który przedstawił nam Anglię doby elżbietańskiej. I znów oprzemy się tylko na kilku dziełach.

„Westward Ho" (wyd. 1855 r.).

Młody Amyas Leigh, wierny tradycjom swego wieku, zostaje marynarzem. Odbywa zdobywcze podróże po wszystkich morzach świata. Podróż naokoło świata pod Drake'm. Walki w Ameryce, a wszystko poprzeplatane piractwem, kampanią w Irlandii i wspomnieniem pięknych oczu nadobnej Rose.

Historia się komplikuje, gdy Don Guzman zostaje wzięty do niewoli w Irlandii i puszczony na słowo właśnie do okolic Amyas'a. Wdzięki pięknej Rose przemawiają do niego, tak jak przemawiają do każdego młodzieńca w promieniu dwudziestu mil. Cywilizowany i ugrzeczniony Don Guzman ma przewagę nad nieokrzesanym Amyas'em. Don Guzman, z pomocą Eustacego (kuzyna Amyas'a, katolika) uprowadził Rose do Ameryki, gdzie został gubernatorem.

I znów fala nowych przygód i usiłowań odzyskania Rose. Wreszcie przychodzi Armada, Amyas ściga Don Guzmana, który rozbija się o skały. Niestety dziwnym i bliżej nieokreślonym trafem, rzekomo na skutek słupu wody, Amyas traci wzrok. Wraca do rodzinnego miasteczka, pod opiekuńcze skrzydła matki, gdzie troskliwie opiekuje się niewidomym bohaterem zakochana Agoyancora, Indianka, którą przywiózł z Ameryki.

Kingsley ujawnia w tej książce wiele cech. Żywa akcja, ładne opisy, świetna charakterystyka postaci i nieopanowana nienawiść, wprost wstręt do katolików.

Jest taki moment, że Eustace rozgoryczony życiem i nieprzystępnością Rose wstępuje do zakonu. Fakt ten stanowi pierwszorzędną okazję dla Kingsley'a do wypowiedzenia swego credo.

„Eustace schodzi z kart naszej powieści, książka ta to historia ludzi, Eustace nie jest już człowiekiem — jest jezuitą".

Jeżeli byśmy przyjęli te słowa jako wyrażenie opinii elżbietańskiej, to wszystko w porządku. Ale nie można się oprzeć wrażeniu, że Kingsley pisał w dużym stopniu w swoim imieniu.

Następna powieść Kingsley'a oparta jest o czasy półlegendarne. Jest nią „Hereward The Wake" (wyd. 1886 r. Akcja toczy się po zwycięskiej bitwie pod Hastings. Wilhelm Zdobywca podbił już całą Anglię, opiera mu się tylko Isle of Ely, położona w owczas najbardziej niedostępnej, błotnisej części Anglii — Suffolku. W zamku zabarykadował się potomek Saksonów***), Hereward, nazwany The Wake (Czujny). Zdawał on sobie doskonale sprawę z tego, że przy istniejącej proporcji sił, jaka była między nim a Wilhelmem, nie będzie się mógł obejść bez tego co w dzisiejszym pojęciu nazywamy wywiadem. Dlatego w rozmaitych przebraniach odwiedzał pozycje Normanów, którzy się następnie dziwili, że dostawali po kułach. Ten stan rzeczy trwał jakiś czas i dlatego legenda Herewarda rosła i potężniała.

W swoim tupecie i brawurze odwiedził on nawet dwór samego Wilhelma, raz w przebraniu garncarza, to znów wędrownego barda. Przy jednej takiej okazji został przyłapany. Tak się skończyła obrona Isle of Ely.

Następnie wymienić należy cykl książek dla dzieci. „The Heroes", opowiadanie o dzieciństwie greckich bohaterów, przyszłych pół-bogów i królów. Bardzo miła książka dla poznania greckiej mitologii. Potem są jeszcze „Water Babies" i „Madam How and Lady Why". W tej książce, też dla dzieci, Kingsley popularyzuje historię naturalną.

Myślę, że po tym krótkim i niewyczerpującym przeglądzie, można dodać jeszcze kilka szczegółów biograficznych.

W r. 1859 Kingsley zostaje kapelanem królowej Wiktorii. W latach 1860 — 69 piastuje katedrę historii nowożytnej w Cambridge. W tym czasie wydaje „Limits of Exact Science applied to History". Kingsley był pisarzem, poetą i publicystą — a także społecznikiem. Ma 36 pozycji na swoim koncie, nie licząc artykułów, które drukował pod pseudonimem Parson Lot w „Christian Socialist" i „Politics for the People".

Działalność jego jest wszechstronna i bogata i choć nie jest najlepszym z pisarzy owczesnej doby, jak to już zaznaczyłem, to jednak warto się z nim bliżej zapoznać.

Roman Stefanowski

*) Antynomianizm — nauka J. Agrykoli, by być zbawionym, trzeba mieć tylko wiarę, nie musi się m.in. przestrzegać 10 przykazań.

**) Chartism — ruch oparty na czterech punktach, które domagały się prawa głosu dla robotnika i w ogóle równouprawnienia.

***) Kwestia pochodzenia Herewarda jest sporna, niektórzy utrzymują, że pochodził z Lincolnshire.

BOŻOGROBCY W MIECHOWIE

(Dokończenie ze str. 5-ej)

go usiłowania papieskie spełzły na niczym.

Bożogrobcy miechowscy rozeszli się po świecie. Część z nich wraz z byłym prepozytem ks. Nakielskim, zamieszkała przy kościele św. Katarzyny w Krakowie, inni wyjechali do Francji.

Dawna prepozytura stała się zwykłą kolegiatą, w której jednak zachowało się aż do czasów ostatniej wojny wiele pamiątek, a przede wszystkim portretów przełożonych. Klasztor został przemieniony na urzędy państwowe i miejskie. Z powodu braku funduszów kościół chylił się ku upadkowi.

W r. 1930 utworzono w Warszawie Komitet Miechowski, którego celem było wspieranie dawnych tradycji polskich Bożogrobców i odrestaurowanie klasztoru, a nawet zamyślano o utworzeniu tam zakładu wychowawczego dla chłopców, niestety jednak ostatnia wojna położyła kres tym zamiarom.

Regularni Kanonicy Grobu świętego używali w odróżnieniu od rycerzy tego zakonu, jako dystynkcji, podwójnego krzyża patriarchalnego koloru purpurowego, noszonego na złotym łańcuchu i takiegoż sukiennego, naszytego na czarnym płaszczu.

Ostatni prepozyci z Miechowa ustanowili Krzyż Miechowski, niekiedy niesłusznie nazywany orderem, który nadawali osobom zasłużonym dla ich klasztoru. Nie należy go utożsamiać z Orderem Rycerskiego Zakonu Grobu Świętego.

A. CH.